



ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca na ziemi włoskiej

ROK IV Nr 42 (132)

NIEDZIELA, 10 GRUDNIA 1944 R.

CENA 10 LIRÓW

ARP.

Nowy rząd Rzeczypospolitej

Pan Prezydent Rzeczypospolitej, przyjmując dymisję rządu p. Mikołajczyka i mianując nowy rząd z p. Tomaszem Arciszewskim jako premierem, postąpił zgodnie z wolą narodu i z zasadami prawdziwej demokracji.

A stało się tak z różnych powodów. Przede wszystkim w myśl uznawanych w krajach sojuszniczych (za wyjątkiem Rosji) zasad parlamentarnych. Skoro więc p. Mikołajczyk znalazł się w rządzie w mniejszości i to w sprawach najbardziej zasadniczych dla bytu państwa, dymisja premiera była nieunikniona, a powołanie do władzy tych czynników, które wobec jego polityki zajmowały stanowisko krytyczne — logicznym wyjściem z sytuacji. Zresztą prosta arytmetyka miała tu niemałe znaczenie. Gdy tylko trzy stronnictwa koalicyjne rządowej zajęły postawę odmienną od czwartego, to czwarte musiało ustąpić, a władza musiała przejść przede wszystkim w ręce Polskiej Partii Socjalistycznej, Stronnictwa Narodowego i Chrześcijańskiej Demokracji.

Arytmetyka wszakże nie decyduje o wszystkim w polityce. W danym wypadku zaszyły fakty, które w polskich warunkach zaświadczają o możliwie maksymalnym związaniu owego rządu z wolą kraju. Faktami tymi są: mianowanie premierem p. Tomasza Arciszewskiego — zasłużonego bojownika o niepodległość cieszącego się szacunkiem we wszystkich środowiskach polskich — polityka, którą jeszcze niedawno przebywał w Warszawie i zajmował czołowe stanowisko w podziemnych władzach państwowych, oraz mianowanie ministrem spraw wewnętrznych p. Zygmunta Beresowskiego, znanego działacza Stronnictwa Narodowego, b. pośła, który również nie tak dawno pracował we władzach podziemnych w Polsce.

Wejście obu tych polityków do rządu nadało mu specjalny i celowo przemysłany charakter, różniący go od poprzednich naszych rządów powstałych na uchodźstwie, złożonych nieraz z dość przypadkowo dobranych osób, które znalazły się na emigracji w Paryżu, w Angers czy w Londynie. Gabinet Arciszewskiego nie jest więc rządem emigrantów, ale rządem, na którego czele stanął człowiek wysunął wola kraju na czołowe w państwie stanowisko i który dla zadań państwowych, a nie jako emigrant, przybył do Londynu... Nie ma tu przypadku, jest natomiast usankcjonowanie wyraźne zarysowanych zamierzeń narodu wyrażonych w naszych warunkach w sposób jak najbardziej demokratyczny. Zresztą osoba nowego premiera — z którego poglądami mogli czytelnicy „Orzeł Biały” zaznajomić się przed dwoma tygodniami z ogłoszonego z nim wywiadu — jest najlepszą rękojmią demokratyczności rządu, a skład jego zapewnia mu szerokie poparcie w narodzie.

Legalność rządu p. Arciszewskiego nikt z Polaków nie kwestionował tak jak nikt, nawet z pośród najostrzejszych przeciwników, nie kwestionował legalności rządu p. Mikołajczyka. Stronnictwo Ludowe, które do rządu nie wchodzi, słusznie jednak postąpiło podkreślając w swym oświadczeniu, że rząd p. Arciszewskiego jest jedynym legalnym rządem polskim. Nikt zatem nie może spodziewać się, że w sprawie legalności konstytucyjnej władz polskich powstaną wśród Polaków najmniejsze wątpliwości. Kto chce układać się z Polską, kto chce uzyskać od niej takie czy inne zobowiązania musi rozmawiać z rządem p. Arciszewskiego. Wszystko co jest poza tym rządem, a zatem poza państwem polskim, jest nieprawne, samozwańcze, bez żadnego pokrycia prawnego i politycznego.

Wszystkie te jednak formalne względy nie stanowią jeszcze o wartości nowego

rządu jako wyrazu woli narodu. Istnieją jeszcze względy polityczne. Rząd p. Arciszewskiego powstał w wyniku coraz wyraźniej zarysowującej się rozbieżności między polityką, którą prowadził p. Mikołajczyk, a poglądami polskiej opinii publicznej. Opinię tą wyrażały różne środowiska na emigracji, wyrażała je przede wszystkim jednolita postawa Polskich Sił Zbrojnych poza granicami państwa, a w końcu po tragicznych doświadczeniach powstania warszawskiego przylączył się do niej cały nasz walczący kraj.

nie osiągnął, ale bardzo szybko przekonał Polskę i cały świat, że cel ten jest nie do osiągnięcia, gdyż Rosja powołując się zresztą na nieszczerne uchwały teherańskie, nie tylko nie zamierza respektować praw suwerennych Rzeczypospolitej na jej ziemiach, ale połowę tych ziem jeszcze w czasie wojny, z pogwałceniem praw międzynarodowych, wcieli do swych obszarów. Rabunku przeprowadzonego w tej formie w stosunku do sojusznika walczącego ze wspólnym wrogiem nie widziały jeszcze dzieje świata. I można tylko dzi-

nić, że do wysuwania jeszcze dalej idących żądań.

Zresztą, czy potrzebne były tego rodzaju dowody naszej „dobrej woli” wobec Rosji Sowieckiej, skoro dawaliśmy jej w innej postaci, mianowicie w akcji bojowej oddziałów Armii Krajowej, które wszędzie, w Wilnie, we Lwowie, na Wołyniu, w Nowogródku współdziałały lojalnie z armią sowiecką w usuwaniu Niemców? Historia w stosownym czasie wykaże, jak te krwawe świadectwa naszej „dobrej woli” przyjmowane były przez stronę sowiecką. Będzie to jedna z najtragiczniejszych kart tej wojny.

Czy taktyka p. Mikołajczyka doprowadziła przynajmniej do zbliżenia polsko-rosyjskiego? Wręcz odwrotnie. Nigdy jeszcze nieufność w stosunkach tych nie była tak wielka, jak obecnie, po rocznych rokowaniach, prowadzonych w warunkach najbardziej przychylnych dla strony polskiej. Polacy w kraju i za granicą doszli bowiem dziś do zgodnego przekonania, że Rosja nie chce żadnego układu z Polską naprawdę suwerenną i z rządem opierającym swą siłę na legalności konstytucyjnej, a dzieje się to dlatego, gdyż chce ona mieć w Polsce wolną rękę, chce ją całą mieć w swym niepodzielnej władaniu. Rosja nie godzi się też na samodzielne gwarancje angielskie dla Polski, gotowa przystać conajwyżej na „poparcie” przez Anglię swoich gwarancji. Rosja pragnie być jedyną w Europie ręką Polski, wiemy zaś z historii, co to znaczy.

Taka jest rzeczywistość, która postawiła nas w końcu wobec prostego dylematu: albo wyrazić zgodę na politykę samobójczą, albo odpowiedziałność za dokonane w Polsce gwałty pozostawić Rosji ze wszystkimi następstwami tego stanu. Otóż my, Polacy, nie mamy w sobie instynktów samobójczych.

Z chwilą wszakże, gdy postawiono nas wobec takiej sytuacji wśród szerokiej opinii polskiej wyrobiło się przekonanie, że dalsze rokowania z Rosją prowadzone w takiej atmosferze i w takich warunkach są bezcelowe, gdyż dają wyniki odwrotne od oczekiwanych. Kapitulować zaś w czasie trwania wojny, kiedy układ się może jeszcze wielokrotnie się zmienić, byłoby nie tylko zbrodnią, ale i szaleństwem.

Rząd p. Arciszewskiego, jak wiemy z jego oświadczenia, nie wyzeka się dalszych prób porozumienia z Rosją, ale, jak zaznaczył nowy prezes Rady Ministrów, porozumienie to chce uzgodnić z zasadami wyrażonymi w Kartie Atlantycznej. Przypomnienie Karty Atlantycznej, która uroczystymi podpisami wiąże wszystkich aliantów, wraz z Rosją, i stanowi konkretne zobowiązanie międzynarodowe, a nie świsłkę agitacyjną rzuconą w pewnej fazie wojny na wiatr przez prezydenta Roosevelta i premiera Churchilla, stawia znowu sprawę stosunków polsko-rosyjskich na gruncie rzeczywistości, uczuciowości i prawa. Korespondent dyplomatyczny agencji Reutersa uczynił w związku z oświadczeniem premiera Arciszewskiego następującą uwagę:

„Drugim punktem Karty przewiduje, że żadne zmiany terytorialne nie mogą być dokonane bez swobodnie wyrażonej woli ludności zamieszkującej na danym terenie. W związku ze sprawą polską oznacza to nieprzejście linii Curzona, jeżeli nie będzie to stwierdzone przez naród polski, co znów nie może nastąpić przed końcem wojny”.

Interpretacja ta jest zgodna z poglądami szerokiej opinii polskiej.

(Dokończcie art. na str. 10)



Po zdobyciu Monte Cassino — Rys. Tadeusz Wysz

Zdanie prezesa Rady Ministrów Arciszewskiego, że w swej polityce korzystał z doświadczenia rządu p. Mikołajczyka, ma swą wymowę i jest wyrazem gorzkiej a bolesnych nauk, które otrzymaliśmy w ciągu czterech lat, bezskutecznych prób ułożenia stosunków z Rosją.

Nikt z Polaków nie kwestionował konieczności osiągnięcia porozumienia z naszym sąsiadem wschodnim zwłaszcza od chwili, gdy wojska jego przekroczyły w styczniu 1944 granice Rzeczypospolitej i weszły na ziemię polską. Celem tego porozumienia winno jednak być: 1) nawiazanie normalnych stosunków dyplomatycznych między Rosją a Polską; 2) pogodzenie suwerennych praw Rzeczypospolitej na całym jej terytorium z koniecznościami wojny i z potrzebami posuwającej się na zachód armii rosyjskiej; 3) wytworzenie zbliżenia i przyjaznych stosunków między Polską a Rosją.

Pierwszego celu p. Mikołajczyk nie osiągnął w dużej mierze wskutek zastosowania złej taktyki w stosunku do Moskwy i nieuwzględnienia sugestii socjalistów w rządzie, którzy uważali słusznie, że od nawiazania stosunków dyplomatycznych z Moskwą należy w ogóle zacząć wszelkie z nią rozmowy.

Drugiego celu p. Mikołajczyk nie tylko

wił się niepojętemu zniecierpliwieniu niektórych środowisk zagranicznych, które miały pretensje do Polaków o to, że nie przyklaskują jeszcze tym bezprzykładnym zamachom na ich prawa.

Taktyka p. Mikołajczyka zmierzała do wykazania naszej „dobrej woli” wobec Rosjan rosyjskich, a zwłaszcza wobec żyjących naszych sojuszników, by przez zajęcie przez nas bezwzględnie stanowiska nie rozbić „jedynolitego” frontu aliantów. Stąd koncepcja, by, zachowując „formalnie” i w „zasadzie” nasze prawa suwerenne, terytorialne i konstytucyjne, w rzeczywistości i w praktyce iść na jak najdalej ustępstwa i użnać w tej, czy w innej postaci wszystkie wysuwane na zewnętrz postulaty sowieckie. Widzieliśmy zatem jak w ciągu tego roku projektowana linia demarkacyjna p. Mikołajczyka, pomyślana naprzód na wschód od Wilna i Lwowa, przesuwana się coraz bardziej na zachód, by dojść w końcu do fatalnej linii Curzona, a właściwie do linii Ribbentrop-Molotov, i jak na pozostałej „Polsce” o nieokreślonych na zachodzie granicach schodził z płaszczyzny suwerenności na gruncie narazie jakiegoś condominium polsko-rosyjskiego. Wszystkie bowiem coraz dalej idące dowody „dobrej woli” p. Mikołajczyka rozumiane były w Moskwie jako objawy słabości i uznawane za po-

I. M. BOCHENSKI, O. P.

OBRONA CYWILIZACJI CHRZEŚCIJAŃSKIEJ (3)

O BEZWZGLĘDNOŚCI WALKI

Gdy mowa o obronie cywilizacji chrześcijańskiej, słowo „obrona” nasuwa, podobnie jak dwa pozostałe wyrazy cały zespół ciekawych i trudnych zagadnień filozoficznych. Chęć w niniejszym artykule omówić szkieletowo tylko jeden z nich, a mianowicie prawo bezwzględności walki.

Aktualne są co prawda także inne zagadnienia i prawa walki; byłoby np. bardzo pożądaną, gdyby ktoś opracował do naszego użytku zasadę nieusłębności w walce, („w walce należy trwać do granic sił fizycznych”), albo zasadę woli („celem walki jest narzucenie własnej woli przeciwnikowi”), gdyż przeciw nim skłonni jesteśmy w różny sposób grzeszyć. Ale sprawa bezwzględności co najmniej równie aktualna, jest zarazem teoretycznie ciekawsza i ma najbardziej filozoficzny charakter. Pozostawiamy więc inne zagadnienia wojskowym, bardziej o mnie kompetentnym w tamtej dziedzinie, ograniczając się do szkieletowego omówienia problemu bezwzględności.

Zasadę bezwzględności, która jest jedną z Clausewitzowych „dialektycznych zasad wojny” zrozumieć można tylko na tle ogólnej struktury walki. Przedstawia ona następująco: u góry jest cel, narzucenie własnej woli przeciwnikowi, dalej główny środek, zniszczenie jego żywej sily, czym właśnie walka różni się od innych czynności spornych, np. od współzawodnictwa sportowego i wielu gier. Wobec istnienia zasady głoszącej, że do istoty walki należy niszczenie żywej sily przeciwnika, wyznania się prawo największego wysiłku, zgodnie z którym walka posiada za sobą ze strony walczących użycie wszystkich sił. Zasada ta tworzy jedną z przesłanek w dowodzie zasady bezwzględności i dlatego warto ją pokrótce uzasadnić.

Gdy mamy dwóch walczących, A i B, sily ich są albo równe, albo nierówne. (1) O ile są równe i obaj używają w walce jednakowego odsetka swoich sił, walka będzie nierozstrzygnięta. Chcąc, (zgodnie z zasadą celu) temu zapobiec, jeden z walczących, n. p. A podniesie odsetek zaangażowanych sił, przez co uzyska przewagę nad B i zacznie zwyciężać. Zasada celu walki zmusi zatem B do podniesienia siły swojego odsetka sił zaangażowanych w walce, i to nie tylko do poziomu A, ale wyżej, gdyż osiągnięcie poziomu A dałoby w wyniku nierozstrzygniętą. W tym momencie mamy więc znowu przewagę B nad A. Ten ostatni będzie reagował podobnie i proces powtórzy się, na kształt odrzucania piłki aż — teoretycznie — obie strony zaangażują 100% swoich sił (2). O ile sily walczących są nierówne i A jest silniejszy, proces będzie wyglądał podobnie, dopóki B nie osiągnie 100% zaangażowania sił, po czym teoretycznie. A powinien zwyciężyć bez użycia wszystkich sił. W praktyce jednak także A będzie miał tendencję do zaangażowania wszystkich sił, z tego prostego powodu, że ocena rzeczywistej sily walczących stron jest w czasie walki bardzo trudna, będąc zależną od zbyt wielu nieobliczalnych czynników — np. od morale walczących. W rezultacie więc zasada największego wysiłku będzie obowiązywała także silniejszego, wyższego wypadki zbyt wielkiej dysproporcji potencjałów.

Na tej zasadzie opiera się dowód naszej zasady największej bezwzględności, którą można sformułować następująco: „do istoty walki należy użycie najbardziej bezwzględnych środków”. Uzasadnienie jej przedstawia się tak: Niech będą dwaj walczący A i B, przy czym A używa jednego środka, np. S. Bardzo bezwzględny od środków stosowanych przez B, który z jakichś ubocznych względów (np. etycznych) środka tego nie stosuje. Tym samym A zyskuje przewagę nad B. B musi tę przewagę wyrównać, jeśli nie ma przegrzać — a zasada celu walki nakazuje mu dążyć do zwycięstwa. Otóż B nie może wyrównać przewagi A przez podniesienie odsetka zaangażowanych sił, gdyż zasada największego

wysiłku gra niezależnie od naszej sprawy. Zatem B musi nie tylko zastosować środek S, ale przewyższyć A w bezwzględności, stosując jeszcze bezwzględniejszy środek, np. T. Piłka rzucana przez A na B, została więc spowodem odrzucenia na A, który reagował musi podobnie, aż dojdzie do zastosowania najbardziej bezwzględnych środków, jakie w ogóle istnieją.

Zasada bezwzględności tak sformułowana i uzasadniona nasuwa bardzo poważną trudność. Wyobraź sobie, że A toczy walkę w obronie określonej cywilizacji, np. chrześcijańskiej, do której jest głęboko przywiązany i którą chce za wszelką cenę utrzymać. Musi toczyć walkę, a więc stosować jej prawa, a więc używać najbardziej bezwzględnych środków. Otóż niektóre z tych środków mogą stać w kolizji z zasadami etycznymi stanowiącymi istotę cywilizacji, o której obronę właśnie chodzi. Walczący staje wobec dylematu: jeśli postąpi zgodnie z zasadami swojej cywilizacji grozi mu przegranie walki; jeśli postąpi zgodnie z prawami walki, sprzeniewierzy się swojej cywilizacji i, broniąc jej pozornie, przędzie do obozu przeciwnika, przez co sama walka straci wszelki sens. Trzeba mianowicie pamiętać, że cywilizacja, której się broni nie jest cywilizacją materialną, ale przede wszystkim podmiotową, istniejącą w nas samych. Sytuacja staje się paradoksalna i często psychicznie niezniesiona.

Próbując rozwiązać ten skomplikowany problem, trzeba zacząć od sprecyzowania pojęcia bezwzględności, które, jak większość pojęć potocznych, jest dosyć mętne. Co znaczy „bezwzględny”? Literalnie znaczy tyle co „nie oglądający się na żadne względy”. Pierwszym więc i podstawowym znaczeniem zasady bezwzględności jest to, co można by sformułować w postaci następującej normy: „w walce stosuj się wyłącznie do potrzeb walki”. W tym sformułowaniu norma nasza zakazuje brania pod rozważ jakichkolwiek innych względów, m. in. względów etycznych.

Niestety słowo „bezwzględny” ma jeszcze inne znaczenia. Mówię się np. że A ma względy dla B, mając na myśli, że A oszczędza B, lub stara mu się dogodzić. W związku z tym można zasadę bezwzględności rozumieć także tak, że zakazuje ona oszczędzać przeciwnika, dogadzać mu i t. p. Dalej mówi się czasem, że ktoś jest bezwzględny, w tym znaczeniu, że ten ktoś jest brutalny, niegrzeczny, „chamski” i t. d., słowem, że nie stosuje się do raczej estetycznych niż etycznych zasad postępowania. Są jeszcze i inne znaczenia słowa ale wymienione trzy zdają się być najwłaściwsze. Dla jasności powtarzam trzy wymienione sformułowania naszej zasady:

(1) w walce nie oglądać się na nie poza jej potrzebami;

(2) w walce nie oszczędzać przeciwnika i nie dogadzać mu;

(3) w walce nie kryć się estetycznymi kanonami działania.

Łatwo zauważyć, że zasada w pierwszym sformułowaniu jest najogólniejsza i implikuje pozostałe, ale nie odwrotnie, to jest, że uznając (1) trzeba uznawać także (2) i (3) — natomiast uznając (2) lub (3) nie trzeba wcale uznawać (1).

Wydać mi się sprawą wielkiej wagi rozróżnienie znaczeniowe, że zasada pierwsza jest oczywiście fałszywa, podczas gdy dwie dalsze są oczywiście prawdziwe. W praktyce występuje u nas niestety ciągle wahanie od uznawania pierwszej, do nieuznawania nawet trzeciej; raz twierdzi się, że w walce wszystko wolno, kiedy indziej znowu, że nie wolno nawet być „niekulturalnym”. Najwięcej jednak zwolenników ma wśród mało myślących ludzi postawa pierwsza i dlatego postaram się ją przedyskutować nieco obszerniej.

Jej fałsz polega na tym, że przyjmując ją nadaje się etyce charakter hipotetyczny. Wyjaśniam o co mi chodzi. Charakterystyczną cechą wszelkiej etyki jest — jak wykazał Kant — to, że składa się ona wyłącznie z imperatywów (norm, przykaz) kategorycznych. Etyka nie mówi mianowicie nigdy, jeśli chcesz aby było A, czyż B, ale zawsze i nieodmiennie „czyn B!” i to z taką siłą, że nie na świecie nie może jej nakazu zmienić, nawet najgorsze konsekwencje. Może się to komuś nie podobać, ale tak już jest. Kto kieruje się zasadami hipotetycznymi, ten

nie działa zgodnie z etyką, czyli nie działa jak człowiek, ale jak zwierzę. 30% przykład rzecz bardziej uwidocznia. Jest w etyce między innymi norma następująca: „Nie bieżesz sprzedawać twojej siostry handlarzom żywego towaru”. Może czytelnik chce zastanowić się, czy istnieją okoliczności i konsekwencje, w których gotów byłby tę normę odrzucić? Przykład jest wprawdzie brutalny i skrajny, ale właśnie dlatego doskonale ilustruje charakter całej etyki. Bo każda jej norma — o ile jest to norma naprawdę etyczna — ma ten sam najzupełniej kategorię charakter, nie znoszący kompromisów i podporządkowania praktycznym celom.

Jest więc rzeczą jasną, że zasada bezwzględności w pierwszym sformułowaniu nie da się utrzymać. Nie można jej tym bardziej utrzymać równocześnie z cywilizacją chrześcijańską. Kto ją uznaje na serio, tym samym stawia się poza nawiasem tej cywilizacji i musi być zakwalifikowany jako barbarzyńca. Choćby świat i wszystko razem z nim miało się zaważyć, cywilizowany człowiek nie może uznać tej zasady za słuszną. Stosować ją zresztą w obronie cywilizacji chrześcijańskiej jest o tyle nonsensem, że, jak powiedziałem, cywilizacja podmiotowa nie bula w obłokach, lecz żyje w nas, i nie jest metodą jej obrony wypieranie się jej przez obronę. Można w ten sposób obrócić swoje życie, swoją posadę i tak dalej, ale nie cywilizację.

Na takie rozumowanie odpowiedziałby zwyczajnie barbarzyńca powołując się na dwa argumenty. Pierwszy z nich jest aprioryczny i głosi, że kto nie stosuje tej zasady, ten musi zginąć, bo takie jest prawo walki. Drugi, a posteriori, dowodzi, że w praktyce zwyciężyła tylko bezwzględność, hajdak, nigdy człowiek uczciwy.

Żaden z tych argumentów nie wydaje się jednak przekonujący. Argument a priori wygląda wprawdzie dość mocno, ale jest co najmniej równoważony przez okoliczność, że wierność zasadom etycznym stanowi bardzo wielką siłę moralną, mogącą tak dalece wzmoć walczącego, że zrównoważy niższość spowodowaną przez skrupułowanie zasadami jej etyki. Że tak jest, świadczy dobitnie historia. Całą jednak siłą traci argument a priori, gdy się usunie z wyobraźni ów spłot pseudoeetycznych norm, istotnie bardzo krępujących w walce, który są dzisiaj przez wielu nieustannie uważane za normy etyczne. Chodzi mianowicie o te, które o pomieszczenie pierwszej zasady z drugą lub, zwłaszcza, z trzecią. Jeśli się natomiast weźmie pod uwagę tylko autentyczne normy etyki chrześcijańskiej, a nie wytwory „humanitarnej” czułości, które, lub tożsamości miałyby, pokutujące u nas nie wiadomo dlaczego jako rzekomy wyraz najwyższej etyki — wówczas okazuje się, że etyka krępuje wprawdzie walczącego ale w stopniu tak nieznanym, że wszelkie dyskusowanie na ten temat wydaje się bezpodmiotowe.

Równie mało warty jest argument a posteriori, oparty na rzekomym doświadczeniu historycznym. Historia dowodzi mianowicie wcale nie wyższości hajdaków, ale poprosu tych, którzy byli przeczniejsi, dzielniejsi i genialniejsi w walce. Historia ostatnich czasów ucytuje nawet bodaj, że wielkie łajdactwo jest arcy-niebezpieczne dla walczącego. Przynajmniej łajdactwo niemieckie, przejawiające się w 1914 w najeździe na Belgię, zostało bardzo drogą okupację przegrana, a i dziś pomsta dziejowa za ponowne zbrodnie będzie pewnie nie mniejsza. Ludzie, którzy powołują się na historię w tej sprawie, robią na mnie zawsze wrażenie doktrynerów szukających za wszelką cenę poparcia dla swojej beznadziejnej tezy o wyższości barbarzyństwa nad cywilizacją, podczas gdy przedmiotowa obserwacja dziejów świadczy o czymś raczej przeciwnym.

Przechodząc teraz do drugiej z naszych zasad, tej, która zabrania oszczędzania i dogadania walczącemu nieprzyjacielowi, trzeba stwierdzić, że w przeciwieństwie do pierwszej, jest ona etycznie najzupełniej uzasadniona. Etyka dopuszcza nie tylko walkę, ale nawet wojnę; w szczególności etyka chrześcijańska, w oparciu o swoją koncepcję czynnego stosunku do życia i zasadę sprawiedliwości, zaleca obronę słusznej sprawy także środkami bojowymi. Nawiasem mówiąc etyka ta nie zabrania użycia żadnych środków bojowych, o

ile nie wykluczają ich szanowane przez nią umowy. Przypominam także, że etyka katolicka stale broniła konieczności kary śmierci na zbrodniarzy i z jej stanowiska literalna interpretacja przykazania „nie zabijaj” (interpretacja zresztą sprzeczna z kontekstem), jest zupełnym nieporozumieniem. Żywa się przeciwnika należy niszczyć na wojnie, taki jest zakaz nie tylko praktycznej walki ale i etyki walki. Stąd, chociażby oszczędza walczącego npla i dogadza mu, występuje przeciw normom moralnym. Nasza zasada jest więc najzupełniej uzasadniona także ze stanowiska etyki.

Tym bardziej uzasadnione jest trzecie sformułowanie tejże zasady, zabraniające powodowania się w walce względami estetycznymi. I ona jest zasadą nie tylko praktyczną ale także etyczną, co więcej, oparta jest na jednej z podstawowych norm etyki, która domaga się primatu przed estetyką w czynnie: nie wolno w żadnym wypadku stawiać piękna ponad dobro. Ludzie, którzy połe walki miesają z herbatką u starszej pani hrabiny, którzy wzdrygają się na tak zwane „chamstwo” człowieka walki i ścigają nie mogą przegrę zapachu krwi... ani nieestetycznego rozgłosu towarzyszącego każdemu zmaganiu na serio — ci ludzie są nie tylko śmiešní: są także grzeszni, bo miesając dwa różne porządki, przeszkadzają w osiągnięciu celu nakazanego przez etykę.

Niestety ludzi takich jest legion. Rzecz ciekawa, że bardzo poważny odsetek spośród nas potrafi znacznie lepiej stosować zasadę bezwzględności w dwóch ostatnich sformułowaniach na polu bitwy militarnej, niż w walce politycznej lub ideologicznej, jaką jest w dużej mierze jeszcze współczesna walka o chrześcijaństwo. Cięży nad nimi i tej dziedzinie zakłamaną czułości kowosie sentymentalizmu, który nie darmo zastąpił chrześcijańską, mocną, bo w woli mającą siedzibę miłość bliźniego, czysto uczuciowym „altruizmem” i „humanitaryzmem”. Cięży wypaczona kultura, mała mianowicie z cywilizacją chrześcijańską bo ta jest cywilizacją czynną, i nie boi się walki ani jej nieestetycznych „chamskich” aspektów.

Położenie współczesne jest tak groźne, że nie możemy sobie pozwolić na tolerowanie podobnych nieporozumień. Tak jak konieczne jest głębsze zrozumienie i ukończenie cywilizacji chrześcijańskiej, o której boi się toczy, tak niezbędne jest również przejście się ścisłymi prawami walki: chęcią narzucenia własnej woli przeciwnikowi, dynamicznym dążeniem do zniszczenia jego żywej sily, gotowością do największego wysiłku — ale także i nie na ostatnim miejscu, zasada bezwzględności. W granicach naszej autentycznej etyki — t. j. pseudoeetycznego humanitaryzmu i czułości — musimy być w walce bezwzględni: nie oszczędzać przeciwnika, nie krępować się formami towarzyskimi, nie dać się obalać propagandą współpracy i kompromisu, ale bieć go czynnie, twardo i mocno.

Walka się już rozpoczęła. Ci, którzy są w linii, niech zaszew walką stosują. Ci, którzy w niej jeszcze staną: nie mogą, niech gotują charakter, aby były twardo jak stal. W ten sposób wielokrotnie odparliśmy naddające burze. To jest jeden z najważniejszych warunków powodzenia wielkiej sprawy, której bronimy i którą obronimy musimy.

Nowe książki

Już się ukazały i są w sprzedaży dalsze wydawnictwa „Biblioteki Orła Białego”:

Quo Vadis — H. Sienkiewicz — t. I i II — cena 160 lirów, za dwa tomy.

Konstytucja Rzeczypospolitej Polskiej — Wydanie Drugie — z nową przedmową Ryszarda Piętrzyńskiego.

Przewodnik serdeczny — Bolesław Kobrzyński — poezje — cena 40 lirów.

Montecassino — album rysunków Z. Turkiewicza — cena 220 lirów.

Biuro poszukiwań

W Delegaturze P.C.K. przy Dowództwie zostało otwarte z dniem 15. II stopada „Biuro poszukiwań” zaginionych, jeńców, przesyłki listów etc.

Godziny urzędowania od 9-1 g. Corso Umberto 303 II/p.

BOHDAN ANDRYCZ

Wołanie o zmianę atmosfery

(List z Londynu)

Korespondencja niniejsza pisana była przed przesileniem w rządzie polskim i przed objęciem ministerstwa informacji przez p. min. Pragę. Odmalowuje ona jednak atmosferę polityczną w Londynie przed kryzysem rządowym. Dlatego ją zamieszczamy.

Ostatnie wydarzenia na odcinku polsko-sowieckim wywołały głęboki konflikt zarówno w tonie samego rządu, jak i wśród szerokich mas cywilnych i wojskowych Polaków w W. Brytanii. Prasa brytyjska nie ustawała w omawianiu szczegółów personalnych i posunięć taktycznych, związanych z tym zatargiem. Są one zbyt dobrze znane, by trzeba było rozważać je szczegółowo. Zwrócić jedynie należy uwagę na to, że nie chodziło i nie chodzi w tym wypadku o normalne przesilenie gabinetowe, które nota bene od pięciu lat, właśnie u schyłku lata, co roku jest aktualne i co roku nie dochodzi do skutku. (Tym razem doszło - przyp. red.) Ministerstwo tygodniami całym zrywki, jak to się mówi w tułajszym żargonie emigracyjnym, „chodzić na przesilenie”.

W tym roku nie było to chodzenie doroczne. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że idzie tu o sprawy najistotniejszej wagi nie tylko dla Polski, lecz i dla Europy. Odmienne ono było również od innych tym, że oficjalna i nieoficjalna opinia brytyjska wzięła w nim udział.

Dowiedzieliśmy się przy tej sposobności, że nasz polejny sąsiad nie tylko dba o „prawdziwą” demokrację w Polsce, lecz ma prawo dyktować nam warunki jak najbardziej „czegółowe, byśmy, broni Boże, w konstruowaniu naszej przyszłości nie błędzili i nie zeszli na manowce faszyzmu. Zwolennicy poszukiwania analogii historycznych cytowali całe strony z odpowiednich pism Katarzyny II i jej pomocników, i robili porównania.

Zaiste dziękować możemy Opatrzności, że nas umieszcza w znakomitym sąsiedztwie przewidującego i bezinteresownego pedagoga, który zawsze troszczy się o to, by ustrój społeczny jego najbliższych sąsiadów był zbudowany na zasadach sprawiedliwości i poszanowania praw człowieka. I oburzać się jedynie należy na nieuczucie niejakiego Fryderyka Engelsa, który pisał niewiadomo rzeczy, że Rosja dokonywała swych podobojów i gwałtów w imię obrony wolności i praw narodu.

Dowiedzieliśmy się przy tej sposobności, wielu ciekawych rzeczy o naszych sprawach wewnętrznych, co nawiasem mówiąc uprzytomniło nam wszystkim, jak znamitym usług oddaliśmy naszym dzisiejszym mentorom uprzedzającym na bruku paryskim i londyńskim nasze najintymniejsze wewnętrzności, babcząc się na urągawisko świata we własnych brudach, podnosząc najdrobniejsze nasze sprawy do rzędu ogólnowspółwytowych zagadnień, odwołując się do opinii świata w najniebezpiecznych naszych zagadnieniach wewnętrznych, wzywając na sędziów obec społeczeństwa do tych spraw, które normalnie w Warszawie, czy Wilnie załatwiał skrotny sędzia pokoju, lub pochwytli dzielnicy.

Zbieramy dobrze zastudzone owoc naszej pięciolietniej nieprzerwanej propagandy oficjalnej, zbiorowej, partyjnej i indywidualnej, która nie zaniedbała niczego, by dostarczyć wszystkim naszym dzisiejszym mentorom jaknajwszechstronniejszego materiału ze wszystkich dziedzin naszego życia, do wszechstronnego użytku na każdą porę dnia i roku i we wszystkich okolicznościach. Nie ma oszczędzania, którego by nam przyszyść nie można było, opierając się na naszych własnych rewelacjach o nas samych. Z tych rewelacji skrzętnie drukowanych na łamach różnorodnej prasy świata, pod którymi podpisały się nazwiska naszych polityków, naszych ministrów, naszych nieestetycznych, światła literatów i naszych obywateli, światła właśnie mogłoby przypuścić, że jesteśmy ponurymi reakcjoniastami, faszyzmi, antysemitami, niezdolnymi do własnego życia politycznego i społecznego, agentami każdej siły dyspozycyjnej, którą świat w danej chwili zwalcza, nierobami, nawet żmijami żółtymi. W każdym momencie dyskusji cudzoziemiec mógłby potrząsnąć triumfalnie jakąś zadrukowaną płachtą z uwiecznionym na niej przemówieniem któregoś z naszych własnych „reformatorów”, „liberalów” czy „demokratów” i zawołać: „documenta habeo”.

I pomyśleć, że wszystko to było robione

nie po to tylko, by jedna grupa ludzi, siłą konkluzury historycznej osiągnąć władzę, mogła zabezpieczyć się przed ewentualną reakcją swoich poprzedników, którzy i tak w myśl logiki faktów historycznych nie mogli do tej władzy wrócić. „Likwidacja” rządów przedwzrostowych to była jedna z najkosztowniejszych zabaw, na jaką nie mogłoby sobie pozwolić żaden inny naród. Ale wiadomo przecież, że jesteśmy narodem panów, landrildów, czyli obywateli. Nie dziwnego, że i pod tym względem nie znaleźliśmy mądry w trwonię naszego narodowego kapitału.

Spółczesność polskie wiele lat pracy daremnie będzie musiała dokonać w przyszłości, by nadrobić olbrzymim wysiłkiem konstruktywnym to wszystko, co ta nasza oficjalna i nieoficjalna propaganda w swej „radosnej twórczości” roztrwoniła.

O tym, co jest w naszym narodzie przy-

wałystów, czytając zaś prasę katolicką — argumenty naszej lewicy itd. Tak się to wszystko pomieszało, że nikt już nie orientuje się i jako żywo orientować się nie może, kto jest autorem i za czyje pieniądze są drukowane te przeróżne paszkwile i anonimy, listy otwarte i zwyczajne donosy, których tu nie brak było nigdy, a jest aż nadmiar obecnie.

O! i teraz kraj tu dwie broszury p.t. „Co mówił Kraj w październiku 1939 r.” i „Co mówiła emigracja zaraz po klęsce wrześniowej 1939 roku”. Obie te broszury to namiętnie sporządzone paszkwile, pełne fałszów, uogólnień, jednostronnych ocen i fałszywych dokumentów, tak spreparowane, by wyrzucić w nas samych, nie mówiąc już o innych, przekonanie, że nie potrafimy nigdy doznać organizacji militarnej naszego kraju, że poddamy w wątpliwość wartość naszych dowódców, a pośred-

no współpracowników sojuszników, ba, nawet dyskutujemy nad słusznością, czy niesłusznością poszczególnych działań obrońców. A tam milionowe miasto bez broni i żywności, bez światła i wody ginie w nieudolnych zmaganiach dzieci kobiet, starców i wszystkich zdolnych do jakiegokolwiek oporu.

I jeżeli przełamano wreszcie ten bierny opór opinii świata, ten sabotaż prasy światowej, jeżeli przełamano wyraźnie negowanie powstania przez bolszewików, to nie jest to niczyja, inna zasługa, jak samej Warszawy. To nasze kobiety i dzieci, grzy i zgłiszca, dziesiątki tysięcy trupów, dziesiątki tysięcy katowanych, głodzonych i wieszanych zapłaciły za te zdawkowe wzmianki i kilkozdaniowe komunikaty radiowe o bohaterstwie narodu polskiego.

Wiele natomiast na tym też dokonano z różnych źródeł wysiłków propagandowych, by wbić klin między Polaków, a tych naszych sojuszników, z którymi wojnę rozpoczęliśmy w imię wszystkich ogólnoludzkich hasel walki z przemocą i faszyzmem. Sztucznie uśmiechnięte lub pieszczliwie zawodzące figury różnych zgranych miewców, oportunistów i ichorzy, lub wprost prowokatorów, wnoszących nabożnie oczy i przymilnie składając ręce szeptali żmierzom o niewierności sojuszników, o odpowiedzialności wielkobrytyjskiej i amerykańskiej, cytując różne analogie historyczne, o dziwne najsławniejszej zestawione w literaturze sowieckiej. Zmordowani i znęcani żołnierze, myślimy i sercem związani z Polską niejednokrotnie z trudem musieli opanowywać się, by nie ulec tym wywodom, by nie zapomnieć o właściwych winowajcach tej jeszcze jednej, może najbardziej dramatycznej tragedii naszego kraju i narodu.

W mętnie wodzie niejedną rybę usiłowa- no ulowić, a w brudnym garnku niejedną pieczeń upiec. I tak to jakoś sprytnie zakrecono, zamydowano, zatuszowano, że w rezultacie tej dyskusji o powstaniu propaganda sowiecka, negując najprzód sam fakt istnienia powstania, później grząc gen. Borowi i powstańcom nie tyle gniewem ludu, ile gniewem NKWD, wreszcie jaskawie uznała walkę Warszawy i zawiadomiła świat, że wojska sowieckie walczą o wolność stolicy Polski, a samoloty sowieckie zrzucają żywność.

Radość zapanowała niezmierzna, a wdzięczność dla „prawdziwego wiernego sojusznika” nie miała granic. A gdyby tak sobie ktoś zadał trud zebrać w jednym tomie wszystkie wypowiedzi prasy Związku Patriotów sowieckich, różnorodnych komunikatów radiowych, namawiających naród polski do zbrojnego powstania, potępiających ostrych ostrych i wstrętności w szafowaniu krwią polską, skazujących Armię Krajową za „bezczynność”, „oportunizm” i „uległość” wobec okupanta — tom byłoby olbrzymi. Tylko z tego, co napisała i nagadała Wanda Wasilewska można było niebyłejak zbiorek dzieł ufundować. Gdy więc do ogólnych spraw polsko-sowieckich doszła jeszcze tragedia warszawska, tujeza emigracja polityczna i wojskowa z tym większym przerażeniem musiała stwierdzić, jak dalece bezbronna jest wobec wszelkich politycznych i propagandowych ataków obcych.

Rozpoczęto gwałtowne odrabianie szkoldnego nierobstwa, lub jeszcze bardziej szkodliwej „twórczości propagandowej” na odcinku własnym i obcym. Społeczeństwo przystąpiło do organizacji kampanii propagandowej.

Obywatel i żołnierz poczuł się zagrożony w swych najistotniejszych prawach i interesach. Obok namydlonych dyskusji w ramach samego rządu, obok wystąpień socjalistów i narodowców na szczeblach oficjalnych, dokonano wielkiej agitacji organizacyjnej w terenie. Masowo zaczęły napływać apele do Prezydenta R.P. Socjaliści rozwinęli niebywałą aktywność na terenie Labour Party i Związku Zawodowców. Nie było skupienia polskiego, w którym nie rozprawiano by o tych sprawach i nie starano się wskazywać na zdrowy kierunek polskiej myśli politycznej.

Żołnierze dywizji pancernych w tym właśnie czasie obficie krwią swoją przypieczętowali jeszcze jeden wkład Polski do wysiłku wojennego w walce z hitlerizmem, wstępując znakomicie w ślady swych braci z pod Monte Cassino i Ancony.

Obok jednak rzeczy wielkich i wzniosłych nie brak było i posunięć nieudanych. Obok poświęceń ofiarnych i wielkiej myśli nie brak było małoceli.



Przed totem

tywno, co uzasadnia naszą wielką wagę międzynarodową, co sprawia, że jesteśmy umiennie światu, oraz, że mimo wszystko szerokie masy pracujące świata wciąż z sympatią myślą o Polsce i Polakach — to tym wszystkim najmniej można było do widzieć się od Polaków. Głosili to szlachetnie i obiektywnie cudzoziemcy, nie zrażając się, o dziw! trudności i przeszkodami, jakimi stawiali ich wysiłkom. Dokonali tego polscy żołnierze, gdziekolwiek znaleźli się na kuli ziemskiej. Dokonał tego przede wszystkim kraj, którego postawa uwieczniona jedną w historii świata, na tak wielką miarę zakrojono epopeję, jaką było powstanie warszawskie, upewniała szlachetniejszą część opinii międzynarodowej, że prawda Polski nie znajduje się w światkach produkowanych przez kolejnych polskich „sanatorów”.

Świat nie mógł i nie może zrozumieć dysproporcji, jaka ma rzekomo istnieć pomiędzy narodem wolnym milującym nad życie, a jego wieleolennymi tak zw. „faszyzmu” rządami. Nie mógł zrozumieć sprzeczności, jaka rzekomo ma miejsce pomiędzy zdrowym wyrzuceniem właściwego kierunku politycznego i społecznego, postawą we wrznięciu i w ciągu pięciu lat okupacji, a tym kierunkiem oficjalnej polityki tego narodu, która miała być sprzeczną z hasłami wolności ludów i demokracji. Świat jest zbyt dobrze poinformowany, że jaki jest naród, taki jest rząd i zbyt dobrze wie, że nie ma rządów bez błędów i winy i nie ma polityki bez przestępstw i fatalnych błędów. W tym jednak ciężkim momencie, w jakim znaleźliśmy się teraz, olbrzymi dorobek naszej propagandy gra na naszą niekorzyść jaknajfatalniej.

Operują na nim politycy wszystkich państw i narodów, którzy wytykaniem nam naszych własnych dokumentów demobilizują naszą społeczność i oficjalną postawę. Powodują się zaś na te podstawy publicystyczne, sojusznicy i niesojusznicy, którzy z troskliwością niezmierzną nie szczędzą nam rad, jak mamy załatwić nasze sprawy polityczne, społeczne, gospodarcze, ustrojowe, personalne, wojskowe, kulturalne i wszelkie inne, tak aby wyrósł z nas naród potulny, grzeszny, gotów do usług wszelkim dobrodziejom.

Osiągnięliśmy już ten znakomity skutek, że czytając „Prawdę” znajdujemy w niej przeciwko nam argumenty naszych przeciwników, czytając brytyjską prasę socjalistyczną — argumenty naszych konser-

wników i całego wojska. Tego rodzaju pamflety mają chyba na celu rozładowywanie wrogiego słońsunku społeczeństwa do nieprzysiężki, którzy dokonali wrześniowego rozbioru Polski, przez udawanie raz jeszcze, że ówczesna katastrofa obciąża wyłącznie nas, Polaków. Zdawałoby się, że nie może być najmniejszej wątpliwości, kto jest autorem tej broszury i kto jest jej wydawcą. Obciążać ona winna jedynie tych, którym tak zależy obecnie na wykastrowaniu wszystkich narodowych i konstruktywnych wartości. Tak by się zdawało, a jednak Opinia publiczna obciąża odpowiedzialnością za wydanie tej broszury pewnego ruchliwego, a niebyłoby popularnego w wojsku dygnitarza.

O! i teraz, O! i teraz, gdy „Wolnej Polsce” i jej patronom tak zależy na przypięciu światu i krajowi tego wszystkiego, co według wrogiej propagandy ma skompromitować politykę zagraniczną Polski w latach przedwzrostowych, gdy Lublin zapowiada proces pokazowy hylch naszych ministrów, tak lekkomyślnie przez ich następców pozostawionych w rękach wroga, o! i teraz ukazuje się kilkustronny pamflet p.n. „Rewelacje Komitetu Obrony Narodowej w sprawie pułkownika Becka”, namflet przedrukowany z odpowiedniego paszkwila, który w swoim czasie — jeszcze przed wojną — był puszczony w Ameryce, w W. Brytanii i Francji, by utrudnić Polsce otrzymanie pożyczki wojennej. Czy to jest potrzebne? I komu oddajemy tym usługę?

Trudno w takich warunkach nie podzielać opinii bolszewików, że z punktu widzenia interesów państwa ważna jest nie wina, lecz czyn, że zbrodnie popełnione ze złej woli, z głupoty, czy namiętności są sobie równe. Trudno dziwić się, że w tych warunkach prasa obca, zarówno względnie życzliwa jak i wręcz wroga nie wykazuje znakomitej znajomości naszych spraw. I którzy przysyłali tak ciężkie chwile, jak te, które teraz przeżywamy, jakież ogromne trudności napotyka każde nasze usiłowanie przedstawienia jakiegokolwiek polskiej sprawy bezstronnie.

Choćbyż nawet Warszawa. Wspaniały zryw narodu nie znalazł należytego odgłosu w prasie zagranicznej. Za naszym przykładem mówiono na ten temat tysiące rzeczy nieważnych, lub wręcz obrzydliwych. Zajmowano się roztrząsaniem odpowiedzialności za przygotowanie powstania, zajmowano się w jakim stopniu uzgodnio-

ANDRZEJ RUSIŁO

System, który się załamuje

Opisywać ostatnio na tych łamach system polityczny „przeplatany” Europie przez główne mocarstwa obozu sprzymierzonych. System ten wyraża się głównie w oddawaniu wszędzie władzy grupie stronnictw, nazywanej „Komitetem Wyzwolenia”. Prawdopodobnie według intencji stron układających się system ten miał funkcjonować tak samo we wszystkich krajach europejskich, niezależnie od tego, przez które z mocarstw kraj będzie wyzwalany i niezależnie od tego, do jakiej sfery wpływów kraj został zaliczony: sowieckiej czy anglosaskiej. W praktyce okazuje się, że sytuacja kształtuje się zupełnie odmiennie w państwach sfery sowieckiej, a inaczej anglosaskiej.

Tam, gdzie wejdą wojska sowieckie powstają wprawdzie również „Komitety Wyzwolenia”, grupujące kilka stronnictw o rozmaitych nazwach z obowiązkowym przymiotnikiem „demokratyczny” i oczywiście z partii komunistycznej. Komitety te jednakże w sferze sowieckiej — jak w Polsce, Bułgarii, czy Jugosławii — są wykładnikiem wpływów wyłącznie Moskwy i wszelka grupa polityczna rodzima albo czerpiąc inspirację skądinąd została już, albo będzie bardzo szybko i energicznie środkami wyeliminowana. Znamy dzieje komitetu wyzwolenia utworzonego pod auspicjami jugosłowiańskiego p. Tito i opartego na tym komitecie, a przeformowanego przez rząd brytyjskiego gabinetu S. Szubaszki. Dopóki rząd ten znajdował się w sferze wpływów brytyjskich, robiono wszystko możliwe, by uwzględnić i jego formowaniu i pracy postulatów sowieckie. Równocześnie partyzanci Tito, póki nie mogli niczego otrzymywać od Rosji Sowieckiej, byli wspomniani przez zachodnich aliantów. Gdy tylko jednak wojska sowieckie wkroczyły w granice Jugosławii, Tito udał się do Moskwy, a życie polityczne w Belgradzie kształtuje się pod wyłącznym wpływem rządu moskiewskiego. Biedny premier Szubaszka pielgrzymuje między Belgradem, a Moskwą i nadaremnie stara się przypomnieć, że jest szefem rządu... in partibus infidelium.

Zupełnie inaczej przedstawia się sprawa w anglosaskiej sferze wpływów. W Grecji i we Włoszech, we Francji i Belgii, wszędzie w komitetach wyzwolenia zasiada partia komunistyczna, wszędzie przedstawiciele jej mają gwarantowane łaski w rządach i nigdzie nikt nie robi im trudności w realizowaniu polityki, opartej o instrukcje Moskwy. Oczywiście do pewnych granic. Gdy akcja komunistów doprowadza do zbrojnych zamieszek lub strajków generalnych i grozi rewolucją na zapleczu frontów — jak ostatnio w Grecji i w Belgii — władze wojskowe sprzymierzonych reagują środkami wojskowymi.

I tam jednakże, gdzie sprawy nie zasły jeszcze tak daleko i partia komunistyczna nie rozpoczyna bezpośredniej akcji rewolucyjnej, system polityczny, oparty o oligarchię stronnictw komitetu wyzwolenia — załamuje się. Tak właśnie dzieje się we Włoszech.

Rozwój włoskiej sytuacji trzeba analizować biorąc pod uwagę trzy czynniki: anglosaski, sowiecki i wewnętrzny, rodzimy włoski.

Czynnik anglosaski jest reprezentowany przede wszystkim przez politykę brytyjską, najbardziej aktywną na tym terenie, jako że Morze Śródziemne jest uznawane za brytyjską przemocą wszystkim sferą wpływów. Rząd angielski ma dość jasną i niezmienną linię polityczną w stosunku do Włoch, linię, powracającą wciąż w oświadczeniach brytyjskich mężów stanu. Churchilla od pierwszej chwili i do ostatnich czasów jest zwolennikiem utrzymania we Włoszech monarchii i spośród polityków włoskich obdarza największym zaufaniem marsz. Badoglio, najwierniejszego służę Korony, z którym zostało podpisane zawieszenie broni. Z drugiej strony rząd angielski wykazuje stałe wielką rezerwę w stosunku do narodu włoskiego i jego postulatów. Zwłaszcza minister Eden nie szczędi Włochom słów twardych i surowych, przypominających im rolę odegraną w tej wojnie oraz klęskę poniesioną. Rząd brytyjski nie czyni Włochom bynajmniej różnych obietnic co do przyszłości. Konsekwencją tego stanu było, że Londyn opierał się długo nawiązaniu stosunków dyplomatycznych z Włochami i opiera się dotąd uznaniu tego państwa za sprzymierzeńca. Konsekwencją tego są też rozmaite kroki przykre dla prestiżu narodowego Italii, jak np. ostatnio wcale beceremonialne wzmieszenie się do

spraw wewnętrznych i jawny sprzeciw zażożony w chwili, gdy Karol Sforza był wysuwany jako kandydat na ministra spraw zagranicznych.

Tym ogólnym wytycznym Londynu nie w całej pełni odpowiada polityka lokalnych jej realizatorów. Zachowują oni wprawdzie właściwą Londynowi rezerwę i chłód wobec Włochów, nie czynią również żadnych starań, aby wytworzyć atmosferę bardziej serdeczną i względną dla tego pokonanego narodu, ale z drugiej strony nie widzą bynajmniej dążeń, które by zapewniły sukcesy głównej wytycznej Londynu na terenie Włoch. Jaką jest zasada utrzymania monarchii. Lokalna polityka anglosaska popiera raczej ugrupowania antymonarchiczne i nie czyni żadnych posunięć zmierzających do podtrzymania Korony. Polityka ta prócz tego, traktując ludność pobliżeli i łagodnie, z daleko pójniętym liberalizmem, starając się w miarę możliwości transportować zaopatrzyć ludność w konieczną żywność, równocześnie nie czyni żadnych starań, aby przedstawić tej ludności swoją działalność i swoją postawę w jasnym świetle i w ten sposób zjednać ją sobie.

Obecny układ między mocarstwami zostawia wprawdzie Basen Śródziemnomorski W. Brytanii, ale jest rzeczą wiadomą, że parcie na północ ku temu basenowi należy do najbardziej zasadniczych kierunków ekspansji rosyjskiej.

Trzecim z kolei czynnikiem, który omówić należy, analizując rozwój sytuacji na terenie Włoch jest naród włoski i jego dążenia, od czasu gdy król Wiktor Emanuel III wraz z marsz. Badoglio dokonali zerwania z Niemcami i przejścia na stronę sprzymierzonych. Mówiąc na trzecim dopiero miejscu o samych Włoszech, podkreślić należy zarazem ten fakt, że dotąd jeszcze nie zdołali oni dobrać się roli samodzielnego czynnika w polityce międzynarodowej. Znaleźli się co prawda w położeniu bardzo trudnym i nie umieli jeszcze najważniejszych trudności przełamać. Faszyzm zorganizował był w swoich ramach większość aktywnych sił narodu i formowanie nowej grupy kierowniczej natrafia na wielkie przeszkody, a nie posiada jedno. Iltęj idę, przewodnie. Brak tej jednolitości, dwójstwo i niezdyscyplinowanie stanowią główną przyczynę dotychczasowych

odzyskaniu Rzymu. Sprawa tego złamania konstytucji została wtedy po kilkudniowym wahaniu znowu załatwiona kompromisowo, mianowicie w ten sposób, że ministrowie złożyli przysięgę na „wierność narodowi w obecności księcia Umberto.

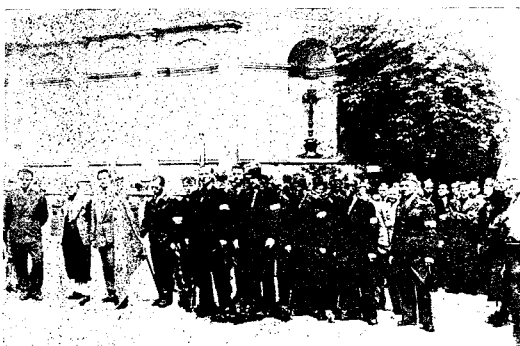
Pod znakiem takiej dwuznacznej sytuacji rozpoczął życie rząd Bonomi'ego. Nikt oczywiście nie był zadowolony z takiego rozwiązania. Socjalistyczno-komunistyczny blok lewicy prowadził w dalszym ciągu energiczną akcję skierowaną zarówno przeciw monarchii jak przeciw aliantom okupującym kraj, a nawet przeciw rządowi, w którym jego przedstawiciele zresztą zasiadali. Z drugiej strony grupy polityczne stojące na gruncie monarchii, a pozostające poza Komitetem Wyzwolenia i poza rządem porządkowały swoje szeregi i wzmacniały się organizacyjnie. Rząd Bonomi'ego nie stał się bynajmniej wyrazem jakiegos ustalonej linii politycznej ani osiągniętej równowagi wewnętrznej.

Alternatywa: monarchia, czy Komitet Wyzwolenia, jako podstawa ustroju włoskiego, posiada również jako odpowiednik dwa dążenia różne w włoskiej orientacji międzynarodowej. Monarchiści chcieli przede wszystkim opierać się na demokracjach anglosaskich i w najlepszym razie wygrywać tylko dla wzmocnienia swojej pozycji stosunek do Rosji Sowieckiej. Znajdując się w anglosaskiej sferze wpływów przyjmują jako rozwiązanie konieczne i stanowicze możliwą drogę wyjścia. Sposób traktowania Włoch przez Anglosasów co prawda nie ułatwia im organizowania opinii pod swoimi hasłami. Koncepcje Komitetu Wyzwolenia posiadają w tym zakresie inną ideę przewodnią, a zawiera się ona nie tylko w programie partii komunistycznej, otwarcie dotąd nie ujawnianym. Artykuły i przemówienia Karola Sforzy odsłaniają myśl o budowaniu wpływu i potęgi Włoch na Morzu Śródziemnym w oparciu — nie o Niemcy jak chciał Mussolini — lecz o inne mocarstwo, o Rosję Sowiecką. W ten sposób próbuje się wiązać z orientacją sowiecką dążenia odpowiadające dawnym włoskim ambicjom narodowym.

Trwające dotąd i nierozwiązane do chwili pisania tych słów przesilenie włoskie jest następstwem zaostrenia się przeciwieństw pomiędzy obu tendencjami. Premier Bonomi uważał za niemożliwe dalsze sprawowanie rządów z gabinetem, w którym najaktywniejszy czynnik socjalistyczno-komunistycznego bloku lewicy prowadził przeciw niemu walkę w kraju i uniemożliwiał utrzymanie administracyjnego porządku. Co do metod i zakresu „defaszyzacji”, kierowanej przez Sforzę, doszło również do drastycznego nieporozumienia. Rozpoczęło się przesilenie, w którego czasie walczą ze sobą znowu dwie te same koncepcje, których pogodzenie ze sobą okazało się już dzisiaj kwadrantem ka. Namiestnik Generalny Królestwa Książę Umberto, zgodnie z zasadami konstytucji, zasięgał opinii nie tylko przedstawicieli Komitetu Wyzwolenia, ale również innych odtamów myśli politycznej. Z drugiej strony partię lewicową stoją nieustępliwie na stanowisku, że Komitet Wyzwolenia winien być jedynym i wyłącznym źródłem władzy politycznej we Włoszech. Najjaśniejszym incydentem przesilenia stał się sprzeciw rządu brytyjskiego zażożony przeciwko osobie Sforzy, jako kandydata na premiera lub ministra spraw zagranicznych. Incydent ten stał się dla pewnych czynników nową okazją do mobilizowania opinii włoskiej przeciw W. Brytanii.

Trudno w tej chwili przewidzieć, jaki będzie ostateczny wynik włoskiego przesilenia. Brak decyzji i chwilewistość jest cechą charakterystyczną wszystkich niemal czynników wchodzących w grę, z wyjątkiem bloku skrajnej lewicy. Jest w każdym razie rzecz pewną, że jeśli będzie znowu zawarty taki kompromis pomiędzy dwoma głęboko sprzecznymi dążeniami — kryzys będzie zażożony tylko pozornie.

Kryzys włoski nie jest bynajmniej zjawiskiem odoobnionym, jeśli chodzi o stosunki polityczne, panujące w wyzwolonych krajach sfery anglosaskiej. Przecież jego jest nawet stosunkowo najjaśniejszy. Znanie wypadki, zachodzące w Grecji, we Francji lub w Belgii, mają przebieg znacznie ostrzejszy, a są wyrazem tej samej zasadniczej sprzeczności tkwiącej w koncepcji politycznego urzędowania tych państw — w koncepcji, co do której zawarto na gruncie międzynarodowym rzekomy kompromis, jednak bez dobrej woli wszystkich układających się stron.



Polscy ochotnicy na podwórzu ambasady RP w Paryżu

Nie stara się ona również wytłumaczyć tej ludności, dlaczego takie, a nie inne zakazy utrudniające życie muszą być wydawane, dlaczego takie albo inne braki nie mogą być usunięte. Lokalne władze aliantkie oświadczają dużą obojętność wobec nastrojów niechęci, którą z natury rzeczy muszą narastać wśród ludności kraju okupowanego, na którego obszarze toczy się jeszcze wojna. Zachowują też jakby wielkopolski liberalizm i obojętność wobec grup i ludzi, którzy dumają na iskrę rozgoryczenia, podniecają niezadowolone i organizują i nawołują do okupantów.

Polityka sowiecka na terenie Włoch postawiła sobie odmienne od brytyjskich wytyczne i inne stosuje metody. Przede wszystkim niewątpliwym celem Moskwy jest obalenie monarchii włoskiej. Partia komunistyczna jest rzeczywistym kierownikiem bloku stronnictw republikańskich i zmierza poprzez obalenie monarchii do zbudowania nowego państwa włoskiego, nowej administracji i nowej armii. Politycznym trybem tego państwa miałyby być Komitet Wyzwolenia Narodowego (centralny i lokalny) oraz komitety powojenne, metodą wyniszczenia ludzi dawnego ustroju tradycyjnego — tzw. defaszyzacja, a zawiązaniem nowej armii — uzbrojone oddziały partyzantów. Rząd sowiecki równocześnie stosuje metody szumowania — w przeciwnieństwie do Anglosasów — narodowego prestiżu i honoru Włoch. Pierwsza Moskwa nawiązała stosunki dyplomatyczne wysyłając ambasadora do rządu włoskiego i Moskwa czyni Włochom ciche obietnice odzyskania kolonii. Nie lekceważy również spraw drugorzędnych. I tak np. rodziny włoskie, które przechowywały jeńców sowieckich otrzymały od władz sowieckich wartościowe upominki, o których wiele się opowiada, a z pewnością zbyt wiele nie kosztowały. Z drugiej strony wpływy sowieckie nie zaniebują innego rodzaju propagandy. Nie będąc okupantami Włoch robią wszystko możliwe, aby powiększać i wygrywać niechęć do okupacyjnych wojsk anglosaskich. Nie pomijają żadnego faktu, nie lekceważą żadnego błędu Anglosasów, z wszelkimi umiarkowaniem kapitał polityczny dla siebie. Będąc w sowieckiej polityce zagranicznej wpływy na półwyspie apenińskim odgrywają bardzo dużą rolę.

niepowodzeń, niemożliwość gruntownego odrodzenia moralnego na nowych podstawach.

Zasadniczym wyrazem politycznym tej dwójności i niezdyscyplinowania jest alternatywa na jakich podstawach ustrojowych ma być oparte pofaszystowskie państwo włoskie: na monarchii czy też na siłach politycznych grupowanych w Komitecie Wyzwolenia Narodowego. Jest faktem, że zerwanie z Niemcami i przejścia na stronę aliantów dokonał król i że dążeniem W. Brytanii jest utrzymanie monarchii we Włoszech. Jest również faktem, że antyfaszystowskie siły społeczne znalazły zorganizowany wyraz w Komitecie Wyzwolenia. Początkowo sprzeczność pomiędzy oboma koncepcjami nie wydawała się zasadniczą i pierwszy gabinet Badoglio opierał się na tym właśnie zespole stronnictw, do którego zresztą jesienią ubiegłego roku wchodziła również monarchiczna partia demokratyczno-liberalna, a przybyły świeżo ze Stanów Zj. przez Londyn, Karol Sforza uważał za możliwe współdziałanie z marsz. Badoglio. Później jednakże sytuacja się zmieniła. Z komitetów Wyzwolenia usunięto stronnictwo demo-liberalne a kongres tych komitetów w Bari z 28 stycznia b.r. wyrażał się zdecydowanie przeciwko monarchii i rządowi Badoglio. W dwa miesiące później jednakowoż przyszło (z inicjatywą Moskwy, przyzwoleniem stamtąd przez Togliattiego) rozwiązanie kompromisowe, którego wyrazem stał się gabinet Badoglio II, czyli rząd z monarchią, stając jako premierem i z gabinetem złożonym z przedstawicieli Komitetu Wyzwolenia. Podstawą tego kompromisu miało być oddzielenie sprawy konstytucyjnej na okres po ukończeniu wojny.

Kompromis okazał się nietrwały, bo natychmiast po odzyskaniu Rzymu, gabinet Badoglio II upadł i doszedł do władzy rząd Komitetu Wyzwolenia „czystej wody” z Bonomi'ą jako premierem. Nowy premier złamał kompromis co do oddzielenia sprawy konstytucyjnej i dokonał pałacowego zamachu stanu nie składając przepisanej konstytucji przysięgi przedstawicielowi monarchii w osobie księcia Umberto, namiestnika Generalnego Królestwa (król, co należało również do zawartego poprzednio kompromisu, wycofał się z życia politycznego po

Konstytucja, Lwów i Wilno

Zarząd Związku Ziemi Wschodnich Rzeczypospolitej Polskiej — Koło Egipskie — wystosował do p. dr. Henryka Strasburgera, b. min. Stanu na Środkowym Wschodzie, następujący list otwarty:

„W dniu 5 XI b.r. ukazał się w dzienniku tutejszym „Le Progres Egyptien” wywiad udzielony przez Pana Ministra korespondentowi tego pisma.

W wywiadzie tym padł Pan Minister wyraz intencji Polaków, że:

- a) Polacy są zgodni co do oddania Rosji wschodnich ziem Polski z wyjątkiem Lwowa i Wilna.
- b) że wszyscy ministrowie rządu Rzeczypospolitej Polskiej są zgodni co do konieczności zmiany „faszystowskiej” Konstytucji R. P. z 1935 r. a jedynie władzę na legalność obecnego rządu powstrzymuje ich od obalenia tej Konstytucji i powrotu do Konstytucji z r. 1921.

Zarząd Związku Ziemi Wschodnich R.P. Koło Egipskie w imieniu wszystkich członków składa niniejszym jak najenergiczniejszy protest przeciw tym wyrażeniom Pana Ministra i ubolewa, że opublikował je Pan w obecnym piśmie, dając w tym czynnikom wrogim polskiej racji stanu tak wygodny argument, jak oświadczenie polskiego ministra.

Oświadczamy zarazem:

ad a) w kwestii wschodnich granic Polski nie ograniczamy się do minimalnego programu zachowania Wilna i Lwowa, przeciwnie — nigdy nie odstąpimy od zasadniczego żądania — zachowania całości naszych granic na wschodzie.

Nie daliśmy nikomu prawa oddawania nas w obcą niewolę bez zapytania nas o zgodę, i tego prawa Panu Ministrowi również kategorycznie odmawiamy.

Pragniemy, jak od wieków, żyć w Polsce i dla Polski i umierać w Polsce i za Polskę.

Protestujemy przeciwko tendencjom przyhandlowania granic wschodnich za cichym, bowiem, tytuły historyczne, prawne, etniczne, ekonomiczne i strategiczne w odniesieniu do granic wschodnich i zachodnich są zgola odmienne i nie istnieje tu żadne tuncum możliwe do przyjęcia.

Ad b) ubolewamy, że kwestia najbardziej zasadnicza w życiu państw i narodów jako jest wszędzie Konstytucja Państwa stanowiąca podwalinę ich istnienia i życia — spowodził Pan Minister w odniesieniu do Polski — do ram tak wąskich, jak tylko i jedynie — do wrota i podstawy legalności obecnego rządu.

Zgodni jesteśmy w opinii, że tak jest istotnie, że bez tej własnej Konstytucji rząd zeszedłby do roli komitetu lubelskiego lub tym podobnych.

Lecz ponadto my dopatrujemy się w tej Konstytucji wielu innych znamion niezwykle ważnych dla życia państwa, a przede wszystkim — źródła siły Państwa.

Okręcenie tej Konstytucji jako faszystowskiej, jest szczególnie wymownym w zestawieniu z polaną w prasie wymianą nót między rządami szwajcarskim i sowietyckim w sprawie nawładzania stosunków dyplomatycznych, skąd dowiadujemy się, że najbardziej demokratyczne państwo Europy — Szwajcaria jest państwem faszystowskim.

Wyrażamy przekonanie, że zrównanie pojęć państwa i ustroju szwajcarskiego i polskiego ujmą nam nie przynosi.

Natomiast, o ile określenie to, odmienne we wszystkich przypadkach rzeczownika i przymiotnika, może być zrozumiałe ze strony rządu sowieckiego lub będącego na żołdzie sowieckiego komitetu lubelskiego — o tyle w ustach legalnego polskiego ministra — jest co najmniej dziwne i godne pożałowania.

Zarząd Związku Ziemi Wschodnich Rzeczypospolitej Polskiej
KOŁO EGIPSKIE

Zaznaczamy, że p. dr. Strasburger nie wchodzi do rządu T. Arciszewskiego.

Rząd wyrazem woli kraju

„Dziennik Polski” zamieścił 1. grudnia 1944 następujący artykuł wstępny:

„Najbardziej znaczącą rzeczą utworzenia nowego rządu polskiego jest fakt, że jest on najbardziej bezpośrednim wykładnikiem woli kraju. Nikt nie może dać lepszego wyrazu tej woli niż człowiek, który

Ofiary

Inż. Wiktor Ostrowski złożył jako ofiarę na Fundusz Pomocy dla ludności Warszawy 8.513 złrów.

DOKUMENTY

podobnie jak Tomasz Arciszewski brał aktywny udział w pracy podziemnej nieomal przez pięć lat i był jednym z przewodów walki podziemnej przez cały czas trwania okupacji. Arciszewski nie jest jedynym członkiem nowego rządu, który ostatnio przybył z Polski. Wola Polski odnosić głównych problemów polityki polskiej jest jasna i niedwuznaczna. Pogląd na temat przyszłej demokratycznej administracji kraju i odbudowy jego społecznego ustroju zostały wyrażone w rezolucjach przyjętych przez organizację Pol. ski podziemnej w latach 1943 i 1944.

„W czasie okupacji okazało się również, że wszystkie polityczne partie i ugrupowania walczące o niepodległą Polskę połączyły się, by pracować dla swego kraju. Dlatego prezydent zwracając się do nowego rządu przypominał swój układ ze ś.p. Sikorskim, zgodnie z którym rząd R.P. za-

czną w sprawie polskiego kryzysu rządowego właśnie na tym tle. W rzeczywistości prezydent podkreślił w swym przemówieniu, że „nie mogą być zmniejszone” wysiłki rządu dla osiągnięcia trwałych i przyjaznych stosunków z naszymi wschodnimi sąsiadami. To samo powtórzył nowy premier odpowiadając na mowę prezydenta.

„Powstało pytanie, na jakiej podstawie ma być osiągnięte porozumienie?”

„Arciszewski odpowiedział na to wyraźnie oświadczając, że musi być ono w zgodzie z zasadami wyłożonymi w Kartie Atlantycznej i musi zabezpieczać żywotne interesy obu państw.

„Że strony Polski nie zabraknie dobrej woli w przyszłości, tak jak nie brakowało



Fot. T. Szumowski

Przemarsz oddziałów odrzucających się armii włoskiej przez Rzym

List gen. Sosnkowskiego do gen. Andersa

Dowódca Korpusu gen. Anders otrzymał następujące odrębne pismo od gen. broni Kazimierza Sosnkowskiego:

Kochany Generalu! Po odejściu ze stanowiska Naczelnego Wodza, pragnę Panu serdecznie podziękować za Jego niezmordowaną i chlubną pracę.

2. Korpus, wstawiony tyłu zwycięstwom, odniesionymi pod dowództwem Pana Generała, był zawsze szczególnie bliski memu sercu. Miałem możliwość niejednokrotnie stwierdzić osobiście, jak wspaniały duch

ożywia Pańskich żołnierzy. Zapal i niezłomną wolę zwycięstwa żołnierze 2. Korpusu w dużej części zawdzięczają Panu, Panie Generale. Odchodząc, żegnam się z Wami, jak z prawdziwie kochaną i żyłą rodziną. Żegnam się życząc Wam dalszych zwycięstw i z wiarą głęboką, że Bóg Najwyższy w nagrodę za Wasz trud żołnierski doprowadzi Was do całej i naprawdę wolnej Ojczyzny.

Lęczę żołnierski uścisk dłoni

(—) Kazimierz Sosnkowski

granicą musi opierać się na możliwie najszerszej koalicji, i podkreślił konieczność utrzymania tej głównej zasady, stawiając jako przykład Kraj. Zgodnie z tą zasadą nowy premier próbował uzyskać współpracę wszystkich partii poprzedniej koalicji.

„Udało mi się uzyskać pełne poparcie trzech partii, lecz czwarta — Stronnictwo Ludowe — nie znalazło możliwości wejścia w skład nowego gabinetu. Tym niemniej zarówno prezydent jak i nowy rząd będą kontynuowali wysiłki w celu uczynienia koalicji rządowej jak najpełniejszą.

„Podobnie jak zjednoczona jest cała Polska, tak i tu w Londynie jest rzeczą zasadniczą, by pokazywać światu nieustannie, że wszyscy Polacy są zjednoczeni w obronie praw ich narodu.

„Deklaracja Stronnictwa Ludowego stwierdzająca, że stronnictwo chwilowo nie bierze udziału w rządzie i deklarująca szczerze poparcie dla rządu, pozwala żywić nadzieję, że usiłowania obecnego rządu, by powrócić do poprzedniej koalicji, nie będą daremne. Nie można wątpić, że cały świat, a szczególnie sojusznicy zachodni w pełni ocenią jak nowy rząd jest silnie związany z krajem i jak dalece wyraża wólg kraju. Często oskarża się rząd znajdujący się na czasowym wygnaniu po za ich krajami, że stracił o kontakt ze swoimi narodami, że są przeto niezdolne do spełniania celów i pragnień tych narodów, i nie reprezentują ich w pełni. Lecz rząd Arciszewskiego jest ostatnim, przeciwko któremu można by podnieść zarzuty tego rodzaju.

„Z drugiej strony nowy rząd może być oskarżany o to, że nie pragnie współpracy z Rosją. Niektóre odłamy brytyjskiej i amerykańskiej prasy już przyjęły postawę kryty-

Mikołajczyk nie znajdując poparcia dla swych poglądów u większości rządu zrezygnował. Jego postawa jednomyślnie została poparta przez Stronnictwo Ludowe, które zdecydowało nie wchodzić do żadnego rządu, który prowadziłby politykę przeciwną porozumieniu pomiędzy Rosją i Polską.

„Arciszewski pomimo silnej opozycji we własnym stronnictwie utworzył gabinet, w którym Stronnictwo Ludowe nie bierze udziału, a który opiera się na sztucznej koalicji socjalistów o tendencjach anty-rosyjskich i skrajnej prawicy.

„Jest rzeczą wątpliwą, czy tego rodzaju koalicja będzie w stanie dochodzić swych praw przeciwko Komitetowi lubelskiemu. Spór pomiędzy rządem i komitetem łatwo może stać się konfliktem pomiędzy odłami mniejszości, z których żaden nie reprezentuje w rzeczywistości szerokich mas narodu polskiego.

„Rezygnacja Mikołajczyka może być interpretowana jako dowód, że polityka kompromisu pomiędzy Polską a Rosją zawiodła. Jeżeli by taka interpretacja okazała się prawdziwą, to każde z wielkich mocarstw ponosi częściową odpowiedzialność za ten tragiczny rezultat. Głównie Mikołajczyka do czynienia ustępstw i przyjęcia warunków rosyjskich jak dotąd nie spotkała się z żadnym rzeczywistym oddźwiękiem lub zachętą ze strony Moskwy. Byłoby w interesie Rosji, jeżeli Rosja rzeczywiście zamierza respektować niepodległość Polski, wyciągnąć rękę do zgody z pojednawczymi polskimi politykami wychodząc im na spotkanie. Zasadą każdego kompromisu jest „dawać i brać”. Jak dotąd propozycje rosyjskie dawały Polakom jedynie wątpliwą wartość korzyści z granicy na Odrze bez dania im jakiegokolwiek przekonującego zapewnienia, że Polacy będą panami swego własnego losu w samej Polsce. Polakom mówi się, że dostaną Szczecin lecz oni nie wiedzą, czy Warszawa będzie rzeczywiście ich. To wyjaśnia uderzający wzrost antyrosyjskich nastrojów wśród Polaków.

„Oskarża się politykę brytyjską a nawet amerykańską za ich jaskrawe niekonsekwencje. O wiele za długo pozwalano Polakom wierzyć, że znajdują oni poparcie wśród mocarstw sprzymierzonych w nieustępliwość w stosunku do Rosji i że zachodnie mocarstwa będą w stanie i będą chciały interweniować aktywnie w sprawach wschodnio-europejskich.

„Okres złudzeń doprowadził do odpowiedzialności jeszcze bardziej bolesnych rozczarowań. Zachodnie mocarstwa sprzymierzone obecnie przerzuciły się do drugiej skrajności i popierają rosyjski punkt widzenia znacznie poza granicami słusznosci. Jeżeli brytyjska i amerykańska dyplomacja mogą zrobić mało lub nie mogą zrobić niczego, by pomóc Polakom, powinny powstrzymać się przede wszystkim od zachęcania ich samych do rzucania się w beznadziejną sytuację a następnie powinny powstrzymać się od zachęcania polityki rosyjskiej, gdy staje się ona jawnie niesprawiedliwa i zła.”

„Błędy nie zwalniają rządów sprzymierzonych od odpowiedzialności w przyszłości. Powinno się od nowa zbadać możliwości osiągnięcia sprawiedliwego i życiowego porozumienia pomiędzy Rosją i Polską. Nie znajduje się tych możliwości, jeżeli nie zostanie utworzony z powrotem rząd polski oparty na szerokiej podstawie i nie wykorzystana są tych możliwości, jeżeli polityka rządów brytyjskiego i amerykańskiego nie będzie bardziej zrównoważona i realistyczna niż to było dotychczas.”

Ś. P.

Antoni Piłatowicz

Podporucznik

Kawaler Orderu Virtuti Militari V kl.

W dniu 14. listopada 1944 r., w marszu do rejonu oczekiwania, zginął w wypadku czołgowym ś.p. ppor. Piłatowicz Antoni.

Odszedł jeden z najlepszych wśród nas. Szanowany, ceniony i lubiany przez przełożonych, kolegów i podwładnych.

S. p. ppor. Piłatowicz spełnił swój obowiązek żołnierski.

PUŁK PANCERNY

WOJNA DOMOWA W GRECJI

(Tygodniowy przegląd wydarzeń)

W numerze „Orla Białego” z dnia 5 listopada daliśmy tygodniowemu przeglądowi wydarzeń nagłówek: „Ku ogólnej wojnie domowej?”. Opierając się na pierwszych symptomach rewolucyjnych w Europie, wskazywaliśmy wówczas na istnienie sił, zmierzających świadomie do wywołania na kontynencie powszechnej wojny domowej. Nie sądziliśmy, że wypadki potwierdzą tak szybko nasze przypuszczenia.

Czytelnicy numeru „The Stars and Stripes” z dnia 5 grudnia mogli zobaczyć podaną na czołowym miejscu wiadomość po angielsku: „Wojna domowa na horyzoncie Grecji”. Depesza podawała szczegóły zdarzeń w Atenach, ogłoszenie tam strajku generalnego przez komunistów, wprowadzenie przez rząd Papandreu stanu wojennego, mówiła o walkach między regularnymi oddziałami państwowymi a bojówkami komunistycznymi EAM itd. Sekretarz generalny owej organizacji oznajmił publicznie, że „premier Papandreu znalazł się poza prawem, a lud walczyć będzie o wolność nie uważając na ofiary. Gdy będzie trzeba walczyć będziemy o wolność przeciw Papandreu i jego żandarmerii”.

Król to jest Papandreu? Jest to polityk groźny co tendencjach lewicowych, demokracja niewątpliwą, który w czasie okupacji Grecji przez Niemców zajmował jedno z czołowych stanowisk w ruchu podziemnym. Wydelegowany za granicę w celach politycznych, zdołał szczęśliwie wydostać się na wolność i przybyć do Egiptu. Wówczas król grecki powierzył mu misję utworzenia rządu. Papandreu misję wykonał, ale rząd oparł w myśl panującego rytuału na greckim „komitecie wyzwolenia”, obejmującym wszystkie stronnictwa „demokratyczne”, do których zaliczani są jak wiadomo, przede wszystkim komunisty.

Trudności wszakże sprawiali właśnie owi komuniści, którzy poprzez swoją organizację polityczną w Grecji ELAS utworzyli formację bojową EAM, stawiającą sobie w praktyce za zadanie walkę nie tylko z Niemcami, lecz również z innąacją bojową organizacją grecką EDES, uznającą autorytet rządu greckiego na uchodźstwie i podporządkowującą się ogólnemu dowództwu sprzymierzonych. Premierowi Papandreu udało się wszakże na jeździe działaczy greckich w Libanie uzgodnić napór wszystkich sprzeciwców i utworzyć rząd obejmujący komunistów. Zdawało się, że wszystko jest w porządku.

Gdy wszakże Grecja została wyzwolona, a rząd Papandreou znalazł się w Atenach, komunisti zaczęli natychmiast warcholizować, wysuwać wszędzie swe bojówki EAM, wreszcie odmówili ich rozbrojenia, gdy żądający tego wojskowe władze sojusznicze, w danym wypadku brytyjskie, w końcu ministrowie komunistów z trzaskiem wyszli z rządu, ogłoszono strajk generalny i... rozpoczęła się wojna domowa.

Powstaje jednak pytanie, czy jest to tylko wojna domowa? Sztab wojsk sprzymierzonych w Grecji wydał komunikat donoszący, że w nocy z 3 na 4 grudnia oddział zbrojny złożony 300 ludzi z organizacji Elas wdarł się do brytyjskiej strefy wojskowej w Pireusie, do której wstęp wzbroniony jest ludziom posiadającym broń. Oddział został rozbrojony przez żołnierzy brytyjskich. Następnego dnia doszło już w samych Atenach do regularnych starć między bojówkami komunistycznymi a oddziałami brytyjskimi. Komunikat oficjalnie donosił, że „wojska brytyjskie bronią wraz z grupą żandarmerii wziętą w Atenach przez szturmem band E. A. M. poniosły straty”.

Jednocześnie oznajmiono, że do Aten zdołał przedostać się oddział E.A.M. w sile ponad jednej dywizji, że zmusiły one "gwardie ludowe", utworzone przez rząd na miejsce odwołanej celem "niezdradzenia" komunistów policji do wycofania się, że rewolucjonisci "zdobyli" już 19 posterunków policji na 28 znajdujących się w stolicy, że rząd w praktyce nie urzęduje, a ministrowie zebrani są w jednym z hoteli. Słowem, rewolucja w pełni, a czytelnik, zanim słowa te dojdą do jego rąk, dowie się o nowych szczegółach charakteryzujących jej przebieg.

Nie chodził wszakże o te, czy inne szczegóły, lecz o polityczną stronę rozruchów. A ta polityczna strona wyraziła się w katerycznym opowiedzeniu się rządu brytyjskiego oraz gen. Seobie, brytyjskiego dowódcy w Grecji, na rzecz rządu Papandreu, a przeciw rewolucjonistom komunistycznym.

Veto brytyjskie

Premier Churchill złożył na temat Grecji obszernie i ostre oświadczenie w Izbie Gmin. Oznajmił bez ogródek, że rząd bry-

tyjski stawia sobie za zadanie „zapobiec wojnie domowej” w Grecji. „Odpowiedzialność główna za przekształcenie wojny domowej w Grecji spada na nas – mówił premier Churchill. – Odpowiedzialność tę posiadamy w sąsiedniej strefie wojskowej, która jest naszą strefą wojskową, zgodnie z porozumieniem zawartym z naszymi głównymi aliantami... Nie zawaham się użyć poważnych sił brytyjskich, znajdujących się w Grecji, a które zostały ostatnio jeszcze bardziej wzmożone, by zabezpieczyć tam prawo i utrzymać porządek”.

Stwierdziwszy, że postępując w ten sposób rząd brytyjski liczyć może na poparcie większości narodu greckiego, premier zapewnił, że rząd brytyjski gotów jest wszystkim Grekom udzielić pomocy, lecz „nie będzie ona możliwa, gdy karabiny wyrzucane dla walki z Niemcami będą używane celem narzucenia w drodze gwałtu dyktatury komunistycznej bez dania nawet narodowi możności wypowiedzenia w tej sprawie swego zdania”.

Zgodnie z tym oświadczeniem gen. Scobie oznajmił, że wojska brytyjskie w Grecji będą w razie potrzeby użyte celem „zapobiegnięcia rozlewowi krwi”.

Ponadto, jak wynika z deklaracji p. Soufisa, osiemdziesięcioletniego przewidywanego stronnictwa liberalnego, któremu p. Papandreu w pewnej chwili zaproponował podjęcie próby utworzenia nowego rządu, ambasador brytyjski w Atenach zapowiedział, że „w myśl ostatnich instrukcji otrzymanych od premiera brytyjskiego nie jest możliwa żadna zmiana w składzie obecnego rządu greckiego”. Również gen. Scobee oznajmił, że „udziela poparcia p. Papandreu, który pozostanie przy władzy”. Veto brytyjskie oznaczało w praktyce zamknięcie w obecnej chwili komunistom możliwości dojścia do władzy w Grecji.

Przewódca liberalów Sofulis odpowiedział gen. Scobie, że udzielając swego poparcia rządowi Papandreu „popierałby dyktaturę”, co nie wydaje mu się możliwe. Owe oświadczenie zaś p. Sofulis składał dlatego, by, jak twierdzi, opinie publiczne brytyjska i amerykańska poznały „prawdę”.

Otóż ta „prawda” wygląda tak, że komuniści w Grecji zaczęli strzelać do żołnierzy brytyjskich, których przeznaczeniem jest walka z Niemcami.

Stanowisko Ameryki

Ambasador amerykański w Atenach wydał oświadczenie, że rząd jego popiera będzie każdy rząd grecki, jaki zechce sobie obrać naród, ale „wobec groźby wojny domowej pomoć amerykańska dla Grecji musiałaby ulec zawieszeniu”. Ambasador oznajmił, że statki amerykańskie znajdujące się w Pireusie będą musiały zapewne opuścić port, a w razie wybuchu wojny domowej dostawy żywności nie będą dochodziły prawdopodobnie przez okres trzech miesięcy. Nacisł więc przez wyrazny. „Ale na kogo? I komu to będzie na rękę?”

W "New York Times" stwierdzali co prawda, że podobne zagadnienia jak w Grecji powstawały w innej nieco formie i w innym natężeniu w Belgii, w Holandii, we Francji i we Włoszech... "Punkt widzenia amerykański jest taki, że wojska sojusznice winny przede wszystkim upewnić się, iż rządy przez nich wprowadzone lub posiadające ich poparcie wzmacniają państwa cywilne i porządek, ponadto także, biorąc pod uwagę konieczność wojennej, władze sojusznice nie mogą oczywiście tolerować chaosu na tyłach frontu, nie mogą towarzyszyć wojny domowej".

Powstaże wszakże pytanie, komu może alacjy na wytwarzaniu rozruchów i zachienek na tyłach wojsk anglo-amerykańskich w chwili, gdy prowadzą one tak ciężkie i doniosłe walki z Niemcami. Niedawna pogadanka polityczna radiostacji szerszy nosiła sensacyjny tytuł: „Nasi niewiedzielnici alianci”. Autor utrzymywał, że Niemcy stracili cprawda w tej wojnie swoich sojuszników, jak Rumuni czy Bułgarzy, lecz „niewiele byli oni wartci”. Żyłali natomiast alianów nowych, niewiedzielnych, a są nimi ci wszyscy, którzy w wyzwolonych krajach europejskich sięją anarchi i anarchię. Szczególne to spostrzeżenie i uwaga... Najzabawniejsze, że autor pogadanki nazwał owych „niewiedzielnich alianów” szerszy „paszozłtami żerującymi na ciele wroga”.

Sytuacja w Belgii

Uwaga o „pasożytach” mogłaby znaleźć najwymowniejsze zastosowanie w Belgii. To prawda, nastąpiło tam pewne uspokojenie, ale ciągle zachodzi obawa wznowienia strajków i rozruchów na terenach odległych zaledwie o kilkadziesiąt kilometrów od najczystszej i najkrwawszej odcinka

frontu zaodnego. W chwili, gdy Niemcy tak rozpaczliwie bronią dostępu do Kolo-
nii i Zagłębia Ruhry, nie mogli oni isto-
nie uzyskać lepszych sojuszników, jak
owych "rewolucjonistów" i agitatorów
komunistycznych, którzy ogłosili strajk na
liniach komunikacyjnych, spowodowali
rozruchy, dążyli do gwałtownego obalenia
rządu itd. Czyż by owym dywersantom na-
tych istotnie zależało na nieudaniu się
ofensywy anglo-amerykańskiej na główne
osrodki przemysłu niemieckiego? Czyżby
chcieli w ten sposób powstrzymać marsz
mocarstw zachodnich do serca Rzeczy?

Próba rewolucji w Belgii nie udała się. Dowódcą wojsk sprzymierzonych w tym kraju, gen. Erskine, podobnie jak gen. Scobie w Grecji, okazał się, że wojska brytyjskie nie dopuszczą do paraliżowania ruchu drogowego i kolejowego strajkami oraz zaburzeniami. Ale również rząd belgijski wystąpił bardzo stanowczo. Zabronił urzędzania zebrań i odmówił wszelkich ustępstw strajkującym. Minister spraw zagranicznych Spaak, z przekonania socjalista, w przemówieniu radiowym wygłosił słuszne zdanie: "Wielu ludzi mówi dziś o demokracji, ale wydaje się, że nie wszyscy spośród nich zdają sobie sprawę, że istnieje jedna pewna cecha podstawowa demokracji, a jedną z takich cech jest szacunek dla cudzego zdania".

Wobec tego, że rewolucja nie udała się, komunisty przystąpili do akcji od innej strony. Mianowicie utworzyli coś w rodzaju „komitetu wyzwolenia” i zaczęli usiłować namawiać socjalistów belgijskich, by wystąpić z rządu i przesiłać na stronę owego samozwańczego „komitetu”. W wypadku utraty poparcia ze strony socjalistów, rząd, zdaniem komunistów, musiałby ustąpić. Socjaliści wszakże, jak dotąd, odrzucają oferty komunistów i popierają nadal rząd Premier Pierlot ofiarując im dwie dalsze tony w gabinecie, który nie został jeszcze uwolniony, co wykrzykuje też komunistów.

Pisząc na wszystkich te tematy prawa belgijska dokonała rewelacyjnego odkrycia. Oto okazało się, że główną przyczyną nieporozumień wewnętrznych w Belgii jest sprawa kierunku jej polityki zagranicznej, a więc przystąpienia jej do paktu zachodniego tworzonego przez W. Brytanię i odstąpienia niektórych belgijskich baz strategicznych W. Brytani i St. Zjednoczonym... Wskazne te plany nie podobają się komunistom. Stąd strajki, awantury, zażenowania.

I tak po nitce dochodzimy do kłębka. Zarówno w Belgii, jak i w Grecji komunistę podkopują poprostu organizacje bratowskiej strefy wpływów, do której oba te kraje są włączone. Sytuacja jest jasna. Należałoby tylko zapytać, czy Rosja również rezygnuje ze swej strefy wpływów w Europie środkowo-wschodniej? Czy wyzwrzeka się ustanawiania tam swoich baz strategicznych? Pytanie ma charakter zasadniczy zwłaszcza dla tych, którzy uważali, że uchwały konferencji teherańskiej oparte są na zasadzie równowagi między mocarstwami, dzielącymi się wpływami w Europie. Lecz wspomnienie Teheranu jest już dziś tak odległe...

Odrębna polityka St. Zjednoczonych

O przesileniu włoskim, które trwa już drugi tydzień, piszemy na innym miejscu obszernie. Offshooto ono w sensacyjne zwroty i w wydzierania wyśocy pasjonujące. Do najważniejszych należało ostre wystąpienie min. Edcna przeciw wprowadzeniu hr. Sforzy na stanowisko ministra spraw zagranicznych. Protest uzasadniał być przez brytyjskiego ministra niejednolitym zachowaniem się Sforzy wobec monarchii włoskiej, jak i wobec premiera Bonomiego.

Veto brytyjskie wywołało w opinii włoskiej ogromne poruszenie. Partia Czynu i socjalisci, poparci dość w tym wypadku popowściągliwie przez komunistów, oświadczyli, że w tych warunkach do nowego rządu Bonomiego nie wejdą.

Tymczasem nastąpiła nowa sensacja. Mi-
nisterstwo spraw zagranicznych Stanów
Zjednoczonych wydało deklarację, w której
rzekł: oznajmilo, że Ameryka nie ma zamiaru
wtrącać się do wewnętrznych spraw pań-
stw oszowadanych i że „rząd St. Zjedno-
czonych w żaden sposób nie wskazywał
rządowi wskiemu, iż ze strony Ameryki
nastąpi sprzeciw wobec kandydatury hr.
Siorzy”. A zatem Waszyngton nie przyl-
czył się do veto Londynu w tej sprawie.
Oświadczenie amerykańskie wywołało
wreszcie w Warszawie wrażenie. Lewica
mnowu poczuła się na siłach. Kryzys wło-
ki znowu skomplikował się.

Widzimy z tego jednak, że Stany Zjednoczone prowadzą we Włoszech nieco inną taktykę od W. Brytanii. Różnice te widoczne są również na odcinku

greckim. Czy są one wyrazem głębszych różnic w poglądzie na politykę światową i nieuniknionych rywalizacji między dwoma, tak sobie bliskimi imperiami, zachowującymi wszakże odrębne ambicje polityczne? Nie chcemy tego przesądzać. Nieporozumienia powstałe na konferencji lotniczej cywilnej w Chicago między W. Brytanią i St. Zjednoczonymi, były również bardzo znamienne. Różnice te, według ostatnich wiadomości, zostały zagażowane, mimo to błędem byłoby nie widzieć różnych punktów widzenia Anglii i Ameryki na niektóre zagadnienia powojenne.

Kłopoty w Chinach

Jeżeli Anglia ma kłopoty w Europie, Ameryka posiada je w Chinach. Pożyczenie wojenne Chin pogarsza się stale. Marzałek Czang-Kaj-Szek określa je sam jako „bardzo niebezpieczne”. Wojska japońskie są w ofensywie i posuwają się szybko m. inn. na Czunking, siedzibę rządu Czang-Kaj-Szeka, którego systematycznie odcinają od obszarów nadmorskich. Jednocześnie Amerykanie tracą kolejno swe bazy lotnicze.

Prasa ludzka („News Chronicle”) twierdzi, że jedynym ratunkiem „tytu” porzuconemu Ciang-Kaj-Szek w Chinach jest armia komunistyczna, licząca 1 podobno pół miliona ludzi, doskonale zapoznana z terenem. Lecząc Ciang-Kaj-Szek nie chce o tym słyszeć. Na życzenie Amerykanów odwołuje on nieco swój rząd, któremu w St. Zjednoczonych zaczęto zarzucać nagłe zmiany reakcyjne, zaoferuje, a nawet nie chłujną gospodarkę pieniężną, wysunął na czoło w rządzie swego szwagra dr. Singa, uchodzącego za liberała, dalsze wszelkie „reformy” odrzuca.

Włodzieniec nie ufa komunistom. I zapewniam, że nie ufa komunistom. Nie jest bowiem wyszytych stanowisko Rosji wobec Chin. Czy w Chinach nie powtarzą się wypadki, które rozegrały się w Polsce we wrześniu 1939 r.? Czy w razie dalszego posuwania się wojsk japońskich, Rosja nie zaprzagnie dokonać najazdu na Chiny nawet w porozumieniu z Tokio? Wszystko jest możliwe. Jeżeli prawdziwa jest wiadomość o manowaniu marsz. Worozyńskiego dowódcy wojsk sowieckich na Daleki Wschódzie, moglibyśmy doczekać się sensacyjnych wydarzeń w Azji.

Podróż gen. de Gaulle

Gdy takie napięcia wytworzyły się między wielkimi mocarstwami, gen. de Gaulle, jako przedstawiciel Francji, która znów ma tytuł mocarstwa, udał się do Moskwy, gdzie jest przyjmowany z całym charakterystycznym wschodnim przepychem. Pannoje przekonanie, że gen. de Gaulle wyjechał tam w roli pośrednika pomiędzy wielkimi mocarstwami.

Ma on w szczególności, jak zapewniał ko-
respondent Reuters w Moskwie, rozwią-
zać wątpliwości i podejrzenia sowieckie we-
bec bloku państw zachodnich. Chce on wy-
kazać, że związek ten nie ma by "rozwi-
niać" jako "przeciwwaga dla wschodniego
związku mocarstw utworzonego dośkoła
Rosji". Jednocześnie gen. de Gaulle ma za-
propozować odnowienie sojuszu francusko-
rosyjskiego, który ma być "równoległy do
dwudziestoletniego przymierza anglo-rosy-
jskiego". Korespondent Reuters wyraził
przy tym przekonanie, że „prawdziwa jed-
ność Europy może powstać w wyniku
współdziałania trzech wielkich ośrodków:
Moskwy, Londynu i Paryża”.

A zatem, ile Franca szuka równowagi dla siebie między W. Brytanią a Rosją, Anglia pragnęłaby znaleźć równowagę między zachodem i wschodem Europy. Londyn chciałaby zapewne, by te same warunki polityczne istniały na wschodzie kontynentu, co na zachodzie. W takim razie jednak, sojusz francusko-rosyjski winien być równoważony sojuszem polsko-angielskim, a Polsce winna być przyznana w Europie ta sama rola co Francji. Wiemy, że do tego jeszcze daleko i stąd stan nierównowagi, który już obecnie wytworzył się w Europie między aliantami.

Czy gen. de Gaulle uda się przyspieszyć zwołania konferencji trzech, która już została odroczona na rok następny? Wydaje się, że obecne napięcia i stworzone sobie wzajemnie trudności nie sprzyjałyby spotkaniu. Do kłopotów politycznych dołączają się wojskowe. Niemcy nie słabną w oporze. Postępy alianłów na zachodzie, zwłaszcza na odcinku Zagłębia Saary, doarcie wojsk sowieckich do jeziora Bałaton na Węgrzech i próba okrzyczenia Budapesztu od zachodu, są sukcesami mimo wszystko lokalnymi. Nie dają rozstrzygnięcia. Zagadnienie niemieckie wciąż jest nie rozwiązane. I ono sprawi największe trudności. Może już jest sprawa za kulismani. **D. I.**

GUSTAW HERLING - GRUDZIŃSKI

LIST C. K. NORWIDA DO EMIGRACJI POLSKIEJ

„Nie mogę bytemu Edytorowi memu Brockhausowi tłumaczyć, że wieści i zachody wojenne są niczym — bo on nie rozumie! — Nie mogę mu mówić, że idzie propositum o Kongres, albowiem nie ma zlegalizowanego i wszystko jest personalne — osobiste — zależące od osobistych atrybutów. Nie mogę mu mówić: Europa jest bezgłówna, Polska cała w sentymentach krwi zbroczonych, a ludzie chrześcijańscy są niepraktyczni, a ludzie praktyczni są szariatami poganki. Nie mogę mu mówić: płać mi i drukuj, i czekaj, a będziesz zawdzięczony.

„Tego wszystkiego mówić nie mogę dlatego, że poprzednicy moi byli ludzie genialni, ale i garze, tak jak każdy patrycjusz w trudnych chwilach Rzeczypospolitej jest i garzem. Byli to szanowni i kochani i garze, którzy szafadłom schlebiali, aby czas czekać do poprawienia rzeczy ogólnej i wychowania czegoś znośniejszego — nie mogli, nieczciwie poczuli — lękali — bo czekali!

„Mówiłem to Zygmuntovi przed śmiercią jego, gdy szedł do mnie, do tego kąta, gdzie byłeś, pod moją nieobecność. Mówiłem mu, że, nie ufając następstwu prawdy i mistrzostwu wszechpotężnego Boga!... To zaś ufanie w konsekwencję prawdy zwie się Nadzieją (cnota).

„Ale co?... robię u nas...

„Bądź im Pindarem albo Buonarrotim... na co?... Im trzeba, abyś był bankierem — i abyś gadał anegdoty jak Radziwiłł Karol, a żonom ich, abyś się modlił grymasy robiąc.

„1. Arystokracja: bez grzeczności i szlachetnej baczności uszułowania człowieka.
„2. Demokracja: bez pracy, walki i dumy szlachetnej.

„Kiedy kto Arystokrata niech będzie delikatnym i artystycznie niebieskim jak Perikles. Kiedy kto Demokrata, niech będzie szlachetnie-dumny jak Cato, i pracowity i cichy.

„Jednych i drugich nie widziałem, ale widziałem: ambicję bez charakteru — lokaje i żalotniki czasów, złodzieje i szariaty —

modły się jak ich niewolnice — żony, ale niemocni słowa świadectwa wyrzec i kroku postąpić prawego.

„Oto gotowi wylać morze krwi, ale kilku wyrzów prawdy nie powiedzą i umyją rękę, i będą na trzy korony Ojca Świętego śmieciami rzucać. Męczeństwo bez wyznawstwa — szlachectwo bez szczerości i gotowości głów. Demokracja bez pracy i charakteru! — gałgactwo.

„Czy zechcesz i raczysz jednym palcem nagim dotknąć interesu, który Ci postawiłem by?!”

C. Norwid

Gdy mi, opuszczającemu Rzym, dał ten, wypisany na cienkim listku papieru list ktoś bliski i czujący, zachowałem go niby najdroższą pamiątkę, niby glej żelazny, wystawiony w tych ciężkich dniach burzy polskiej na dalszą trudną i niepewną drogę.

Napisał go Norwid nie do naszej Emigracji, ale do Kraszewskiego. Napisał go w równie dla Polski chmurnych czasach, gdy w owym biednym kącie, w zwadzie serdecznej z Zygmuntem Kasińskim i innymi sięgał do dna polskich nieszczęść,

rozjaśniał nieulętkim rozumem głębokie mroki najdumniejszych z tulać.

Nie wiecież, ale mędrzec, nie prorok, ale gorzki ostróżdź, nie wróż, ale mistrz, który z poezji uczynił lancet, odstawiający najdrobniejsze włókna duszy narodu, umiowanego w nieszczęściu i tak nierozumnie szalonego w pokój: „Delikatny i artystycznie niebieski jak Perikles” — w łachmanach. Czy to nie On właśnie powinien być dla nas symbolem niezłatym narodu, który tulać i poniewierkę przekłada nad niewolę?

„Szlachetnie-dumny jak Cato i pracowity i cichy” — życiem całym przyświadczył, że los własnego narodu można zdrać lub dzielić, ale nigdy, przynigdy nie wolno go skłamać. Skąd wiedział ten królowski nędzarz, że tak będzie znowu? Jak przeczuł i ową „Europę bezgłówną” i „Polskę całą w sentymentach krwią zbroczonych” i owych „szariatów pogankich”, ludzi praktycznych? Rwie się smutny polski walek, gubi się myśli bezinteresowna wśród „wieści i zachodów wojennych”. Norwidowa ma twarz powstaniec ze „Snu Eleni”, Norwidowy, zbolaty głos

dźwięczy ostro w orkiestralnych „chórach wieków” Słowackiego. I jeszcze wyrwa się po raz ostatni ze strąconego na bruk warszawski fortepianu Szopena. A przecież mogłoby na nowo marzyć o jednym tylko „z młodości swej stolicy” kamieniu, na którym „krew i iza nie świecą”. Mogłoby jakże łatwo, niby po nocach budzący, cień bezlitosny polskich przywar i grzechów znów palcem kościstym wskazać „patrijuszcy co w trudnych chwilach Rzeczypospolitej są łgarzami”, aby „czas zyskać do poprawienia rzeczy ogólnej i wychowania czegoś znośniejszego”.

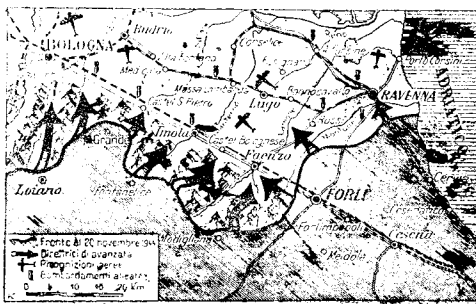
„Lokaje i żalotniki czasów”, niemocni słowa świadectwa wyrzec i kroku postąpić prawego”, wszyscy ci mali „organiczni” i pozytywści o tyle mniejsi od swych mistrzów, o ile przelaz węższy jest od drogi.

Nawskroś przejrzał ich później Brzozowski, ten „Norwid naszych już czasów” który, gdyby los mu odjął trochę inteligencji i wiedzy, a nie poskąpił Cypriano-ego rozumu i sztuki, mógłby napisać jedną zapewne książkę o dziejach inteligencji polskiej. Jak z tych coraz to ginących ścieżek polskiego geniuszu niewoli wydeptać szeroki gościniec wolności?

Jest jedna wielka rzecz, dzięki której żyjemy wszyscy. Jeśli Polacy są naprawdę narodem romantycznym, to jest to anachronizm, który cierniem tkwi w żywym ciebie Europy. Jeśli są naprawdę narodem niepodległym, to jest to prawda, która układane do snu śmiertelnego Europy każe zawsze przeznaczyć się do życia na nowo.

Polska układana, Polska nowego Margrabiego, w której „dla Polaków można zrobić dużo, ale z Polakami nie”, Polska znująca właśnie w kresu męczeństwa, któremu teraz, właśnie teraz zbrakło nagle wyznawstwa! — gałgactwo.

Więc u progu szóstego roku Emigracji, na chwilę przed chłodnym świtem czasu jutrzejszego czy „zechemy i raczymy jednym palcem nagim dotknąć interesu, który nam przedstawiał by?!”



Mapka zachodniego odcinka frontu włoskiego w dn. 20.XI.1944 r.

Z PAMIĘTNIKÓW MURAWIEWA - „WIESZATIELA”

Przeciw prawom Bożym, ludzkości i narodów...

Michał Mikołajewicz Murawiew, który przeszedł do historii pod krwawym mianem „Wieszatela” — był jedną z najbardziej charakterystycznych postaci rosyjskich. Łączył w sobie wszystkie cechy bizantyjskiej chytrkości i azjatyckiego okrucieństwa. Kłamstwo stanowiło jego ciałę nieodłączną, broń najlepszą, którą wprowadzał wszędzie systematycznie, wierzając, że zwycięży ona zawsze, na arenie międzynarodowej.

W chwili kiedy obejmował władzę na Litwie, sprawa Polska była powodem gwałtownych ataków na Rosję i cara ze strony państw europejskich. Powszechnie przypuszczano, że Rosja może przegrać swą sytuację polityczną, tylko przez coraz głośniejszą sprawę polską. Wtedy to car Aleksander II oddaje wielkorządztwo Litwy — Murawiewowi. Jest to jego odpowiedź na noty dyplomatyczne mocarstw zachodnich: „Zarzucają mi bezprawie i okrucieństwa”, mówi Aleksander II, — „zobaczcie. Jeszcześ takich nie widzieli! Ja będę bronił siebie, a za ramię posłuję mi człowiek złożony z rzymskiego prokonsula i tatarskiego chana. Ja dam w twarz prawu narodów! a on prawom bożym i ludzkości. Jeżeli jednak naprawdę bronić ich niechcicie, może być za mną iść”.

Oto jak sam Murawiew mówił w swoich pamiętnikach (**) o nastrojach panujących na dworze cara i carcy: „Wpływ zagraniczne partii rewolucyjnej pociągający przeciwko nam główne państwa europejskie: Francję, Anglię i

Austrię; stosunki nasze dyplomatyczne były niepomysłne, a nasze usposobienie pojednawcze i ustępstwa dodawały tym wszystkim otuchy polskim buntownikom. Pokładali oni najzupełniejszą ufność na współdziałanie Anglii i Francji. Wszelkie rozporządzenia, przedsięwzięcia najpomysłniej w guberniach zachodnich, znajdowały na miejscu opór nie tylko materialny, ale moralny, podtrzymywany nadzieją, że państwa zachodnie przymuszają rząd petersburski do zgodzenia się na wymagania Polaków i do poddania się konieczności odbudowania Polski (str. 77).

„Przed odjazdem przedstawiałem się N. Pani, która była bardzo zaniepokojona sprawami w Królestwie i w guberniach zachodnich. Dziękowała mi za moją stanowczość i poświęcenie, a między innymi mówiła o trudnościach położenia i o naciśku państw zachodnich na nas, powiadała: „Gdybyśmy przynajmniej Litwę mogli przy nas zatrzymać”. O Królestwie już nawet mowy nie było; to, w jakim usposobieniu były nawet osoby panujące (str. 31).

„Nikt nie wierzył, żeby rząd nasz zdecydował się przedsięwziąć jakiejkolwiek środki, niezgodne z życzeniami państw europejskich, a wszyscy przekonani byli, że rząd zmuszony będzie ustąpić, tj. że przynajmniej pretensji polskich do odbudowania Polski; w dawnych jej granicach. Przede wszystkim potrzebowałem rozwiać ten polski obłąd, a w Rosjanach i w wojsku wzbudzić przekonanie, że środki, które rząd przedsięwzię, nie mogą być chwytne. Słowem, trzeba było zmocnić na nowo władzę rządową i zaufanie w nią rozbudzić, bez tego nie robić nie można było. Zadanie to trudne, lecz zdecydowałem się na wszelkie poświęcenie się materialnie i moralnie, z pełną nadzieją w Bogu wzięciem się do dzieła” (str. 33).

A oto jak wyglądał jego „zbaw-

czy” program przyjęty później z takim uznaniem przez całą Rosję.

„Wchodząc do gabinetu, zastałem cesarza bardzo zaniepokojonego; opowiedział mi o stanie w Królestwie Polskim i na Litwie, o wszystkich swoich obawach, czy się uda zatrzymać przy Rosji Litwę, zwłaszcza w razie wojny europejskiej, której należało oczekiwać w grobach uciążliwych nam przez Francję i Anglię. Przy tym N. Pan dodał, iż ma do mnie prośbę, abym przyjął na siebie zarząd kraju północno-zachodniego z głównym dowództwem wszystkich znajdujących się tam wojsk, i z przyłączeniem dwóch białoruskich guberni do czterech guberni, składających wileńskie generał-gubernatorstwo; że się spodziewa, że uśmierzę tam powstanie i doprowadzę wszystko do należącego porządku; że nadaje mi zupełne prawo działania według mego uznania i potrzeby, a że po uśmierzeniu powstania ode mnie będzie zależało, czy zechcę wrócić, czy też pozostać generał-gubernatorem.

„Propozycja cesarza była dla mnie zupełnie niespodziewaną. Nie przychodziło mi nawet na myśl, że będę posłany na Litwę, kiedy opuszczając ministerium, widziałem niechęć N. Pana... Na propozycję cesarza odpowiedziałem, iż jako Rosjanin byłbym nieuczynnym, gdybym się cofał od powierzonych mi teraz obowiązków; że każdy Rosjanin jest obowiązany poświęcić siebie dla dobra ojczyzny, a zatem, że bezwarunkowo przyjmuję ciężkie obowiązki generał-gubernatora w tym kraju; że od N. Pana zależało będzie kazać mi pozostać tak długo, jak to będzie uważał za potrzebne, lecz, że w takim razie żądać muszę zupełnego zaufania ze strony JC.Moscy, gdyż inaczej nie może być pożytecznego skutku. Z radością poświęcę się dla dobra i szczęścia Rosji, lecz żądam zarazem, aby podane mi były wszelkie środki do wypełnienia włożonego na mnie obowiązku, a przede wszystkim muszę porozumieć się co do systemu działania. Przy tym wypowiedziałem N. Panu, iż znajduję, że sposób zarządu Królestwa Polskiego wcale nie odpowiada okolicznościom obecnym; konieczne jest, aby w Królestwie i w kraju zachodnim zachowany był ten sam system, tj. srogie prześladowanie spisków i buntów, podniesienia godności narodowej rosyjskiej i ducha w wojsku,

które się teraz oburza dlatego, iż będąc ciągle obrażanym przez Polaków, nie miało nawet prawa działać przeciwko ich gwałtom.

Konieczne jest dać stanowczą odprawę państwu zagranicznemu, które wszelkimi sposobami będą szkalowały proponowany przez mnie system łepienia buntu i rewolucyjnego ducha polskiego. Trezeba, aby i ministrowie JC.Moscy przeniknęli się tymże systemem i taką samą myślą, gdyż w przeciwnym razie nie może być pożytecznego skutku działania na miejscu. Wszystko to razem wzięte nakazuje mi prosić, aby JC.Moscy raczyli raz jeszcze osądzić, czy nie znajduje innej okoliczności odpowiedniej do wykonania tych obowiązków, której system działania byłby sympatyczniejszy dla Europy i dla petersburskich rządowych dygnitarzy. Wiem z góry, iż system mój nie będzie się podobał, lecz odstąpić od niego nie mogę i naprzód zapowiadam, bo znam dostatecznie naród polski, że ustępowam i słabość i rzecz całą tylko pogorszyć możemy; spokojność zaś możemy przywrócić w kraju jedynie środkami srogięj sprawiedliwości i prześladowaniem spisków.

Przy tym wypowiedziałem N. Panu, że kraj ten od wieków rosyjski samimny spolszczył, że doświadczenia roku 1831 nie posły nam na korzyść; teraz zaś stanowczymi środkami należy zgnieść bunt, wypisać spiski, a przywrócić narodowości rosyjską i prawosławie. Mówiąc o stanie kraju moralnym i politycznym, powoływałem się na nabyte przeze mnie doświadczenie w rozpoznawaniu charakteru polskiego i nieprzychylnych usposobień jego dla Rosji. Podczas pobytu mego w tym kraju, w Witebsku jako wice-gubernator, a podczas całej kampanii 1831 roku znajdując się przy głównodowodzącym hr. Tołstoj, który mnie był powierzył wszystkie sprawy cywilne w czasie powstania, miałem sposobność poznać ten kraj, rewolucyjne idee i intrygi polskie.

„Na wszystko to cesarz odpowiedział mi podziękowaniem za moje poświęcenie i za przyjęcie na siebie trudnego tego zadania; że najzupełniej podziela mój sposób widzenia rzeczy i proponowany system i że od niego nie odstąpi” (str. 27 do 29).

(Dokończenie art. na str. 9)

(*) Pamiętniki Murawiewa („Wieszatela”) 1863-1865, polski przekład, wydanie trzecie Kraków 1902.

CURZIO MALAPARTE

SZCZURY (X)

W upale samochód wolno sunął po drodze pełnej wybojów. Przechodziłem gorączkę „z siana” i kichałem bez przerwy. Chmury much leciały za nami, brzęczące, rozłożone. Sartori opędał się od nich chustką, czoło skropione miał potem i narzekał: „A cóż za utrapienie! Brac się do szukania trupa na ten upał, przy tych wszystkich tysiącach trupów, rozrzuconych po Modjavi! Zupełnie, jak szukać igły w stogu siana!”

— „Sartori, niech pan nie mówi o ślaniu, na miłość Boską!”, przerwałem mu kichając.

— „O Jezu, Jezu! — zapomniałem, że pan ma gorączkę”. Sartori z litością patrzył na moją rozpaloną twarz, nos fiołkowy i powieki czerwone i narzekał.

— „Pan lubi szukać trupy — mówiłem do niego — niech się pan przynajmniej, tak, drogi Sartori. Jest pan w Neapoli, a tam lubią umierać, potrzebują, płaczą, żałują i cmentarze. Lubią pan grzebać umarłych. Prawda, Sartori, że pan lubi trup?”

— „Niech pan nie kipi ze mnie, Malaparte. Naprawdę, obeszliśmy się w tym upale bez szukania trupa. Ale obiecałem to żonie i córce tego nieszczęśliwa, a każda obietnica jest długiem. Obie biedaczki wierzą, że jeszcze jest żywy. Czy myśli pan, Malaparte, że on jeszcze żyje?”

— „Jakże pan chce, żeby jeszcze żył, kiedy pozwolił go bez protestu zamordować w swoich oczach? Teraz rozumiem, dlaczego pan jest gruby, jak rzeźnik. Tak, to ładne rzeczy dzieją się w Królewskim Konsulacie Włoch w Jassach!”

— „Malaparte, po tym wszystkim, Mussolini, gdyby był człowiekiem sprawiedliwym, powinien mnie zrobić ambasaderem”.

— „Zrobi pan ministrem spraw zagranicznych. Założę się, że schował pan sobie trupa pod łóżkiem. Niech pan powie prawdę, Sartori, że lubi pan spać z trupem pod łóżkiem”.

— „O Jezu, Jezu!” wzdychał Sartori ocierając sobie twarz chustką.

Już od trzech dni szukaliśmy trupa tego nieszczęśliwa. Poprzedniego wieczoru udaliśmy się do samego szefa policyi, by spróbować się dowiedzieć, czy czasem biedak, jeżeli zabójcy oszczędził go w ostatniej chwili, nie został zamknięty w więzieniu. Szef policyi przyjął nas uprzejmie: miał twarz żółtą i zwiedzia, oczy czarne i obrósnięte, z zielonymi refleksami w cieniu gestych brwi. Zauważyłem ze zdumieniem, że rzęsy mu rosły nawet w wewnętrznych kątach spojówek: nie były to rzęsy, ale naprawdę puch, szary, cienki i gęsty.

— „Czy byłicie już panowie w szpitalu św. Spirydona? Może tam się znajduje”, powiedział w pewnej chwili szef policyi przemierzając oczy.

— „Nie, w szpitalu go nie ma”, odrzekł Sartori swoim spokojnym głosem.

— „Czy pan jest pewien — szef policyi wpatrywał się w konsula szczelnie okiem, blaskającego czarno i zielono w obramowaniu szarego puchu — pewien, że fakt zaszedł w obręb konsultatu? I że to byli moi żandarmi?”

— „Niechże mi pan pomoże odnaleźć przynajmniej trupa”, rzekł Sartori z uśmiechem.

— „Słyszałem — mówił szef policyi zapalając papierosa — że z okien konsultatu Włoch padły strzały rewolwerowe do patrolu żandarmerii przechodzącego ulicą”.

— „Przy pana pomocy nie będzie mi trudno trupa odnaleźć”, rzekł Sartori z uśmiechem.

— „Nie mam czasu na szukanie trupów — powiedział szef policyi uśmiechając się uprzejmie — mam aż za wiele roboty z żywymi!”.

— „Na szczęście — rzucił Sartori — liczba żywych szybko się zmniejsza i niebawem będzie pan mógł trochę odpocząć”.

— „Naprawdę mi tego potrzeba”, szef policyi podniósł oczy ku niebu.

— „Dlaczego byśmy nie mieli się porozumieć i podzielić w naszej pracy? — spokojnie zaproponował Sartori. — Podczas kiedy pan zajmie się wykreśleniem i przyłapaniem morderców, którzy jeszcze są, bez wątpliwości, żywi, ja się zabiorę do szukania zmarłego. Co pan na to?”

— „Jeśli mi nie przyniesiecie trupa tego pana i jeśli mi nie udowodnicie, że został zamordowany, jakże mogę szukać zabójców?”

— „Nie mogę panu odmówić słuszności — przyznał uśmiechnięty Sartori. — Przyznosę panu trupa. Przyznoszę go panu tutaj, do biura, razem z innymi siedmiu tysięcy umarłych, a pan mi pomoże odnaleźć go w stosie. Zgadza się pan?” Mówił wolno, uśmiechając się z niezakłóconą nicyzm flegmą: ale ja znam neapolitańską mowę, wiem, jacy są z nich niektórzy i wiedziałem, że Sartori w owej chwili trząsł się z gniewu i burzenia.

— „Zgadza się”, odparł szef policyi.

Wówczas Pellegrini, „głupi faszysta”, podniósł się i zaciągając pięści, powiedział szefowi policyi: „Jest pan pospolitym mordercą i podłym bastardem”. Patrzyłem na niego zdumiony i pierwszy raz bez zadržki. Był naprawdę piękny: wysoki, atletyczny, z twardą białą, drzącymi nozdrzami i oczami płonącymi. Patrzyłem nań z prawdziwym szacunkiem. Był „głupim faszystą”, ale w noc wielkiego pogromu w Jassach wielokrotnie narażał skórę, żeby uratować życie jakiegoś Żyda, teraz zaś (wystarczyło jedno skinienie szefa policyi, żeby go sprzątnąć tego samego wieczoru na rogu ulicy), narażał skórę znowu — dla żydowskiego trupa.

Szef policyi również powstał i patrzył w niego swoimi obróśniętymi oczami: chętnie by mu strzelił w brzuch, chętnie by strzelił do Sartorio, do Pellegriniego i do mnie, ale nie śmiał, bo nie byliśmy Rumunami, nie byliśmy trzema Żydami z Jass. Bał się że Mussolini by nas pomsć. (Ah! ah! Ah! bał się, że Mussolini nas pomsć! Nie wiedział, że gdyby nas zabił, Mussolini nawet by nie zaprosił. Mussolini nie chciał mieć nieprzyjemności. Nie wiedział, że Mussolini bał się wszystkich, że się bał nawet jego?) Wpadłem w śmiech na myśl samą, że szef policyi w Jassach lękał się Mussoliniego.

— „Z czego się pan śmieje?” zapytał nagle szef policyi odwracając się ku mnie szybkim ruchem.

— „Czego chce ode mnie ten pan? — powiedziałem do Pellegriniego. — Ciekaw jest, czemu się śmieje?”

— „Tak — odparł Pellegrini — ciekaw jest, czemu się śmiejesz”.

— „Z niego się śmieję. Czy może nie wolno mi się śmiać z niego?”

— „Nie jest to na pewno zabronione — rzekł Pellegrini — ale zdaję sobie sprawę, że nie musi mu to sprawiać wielkiej przyjemności”.

— „Oczywiście, że nie musi mu to sprawiać przyjemności”.

— „Naprawdę? Śmieję się pan z niego? — zapytał mnie Sartori swoim spokojnym głosem. — Przepraszam pana, Malaparte, ale wydaje mi się, że się pan myli. Ten pan jest gentlemanem i powinno się go traktować, jak na to zasługuje”.

Postawiliśmy w spokoju i wyszliśmy. Za progiem jednak Sartori się zażurzył: „Zapomniał się z nim pożegnać. Wracamy?”

— „Nie — odpowiedziałem — chodźmy raczej do komendanta żandarmerii”.

Komendant żandarmerii pościł, stawał nas papierosem, wysłuchał uprzejmie, po czym rzekł: „Pojechał do Podul Iloaci”.

— „Do Podul Iloaci? — zapytał Sartori. — Po co?”

Parę dni po masakrze pociąg pełen Żydów wyjechał do Podul Iloaci, więc oddalonej o jakieś dwadzieścia mil od Jass, gdzie szef policyi postanowił stworzyć obóz koncentracji. Pociąg wyjechał przed trzema dniami, powinien więc już być przybył na miejsce od dawna.

— „Jedźmy do Podul Iloaci samochodem”. Zatrzymaliśmy się przy maleńkiej stacji, zabagnionej wśród zakurzonych pól, ażeby zasięgnąć wieści o pociągu. Żołnierze siedzący w cieniu wagonu odstawnego na martwy (ro! powiedział nam, że konwoj, złożony z dziesięciu wagonów bydlęcych, przejechał tędy przed dwoma dniami i pozostał przez całą noc na owej stacji. Nieszczęśliwy zamknięty w plombowanych wagonach wysi, i jęczał błagając żołnierzy o dajcie desek, którymi zabije byt okna. W każdym wagonie cisnęło się około dwustu Żydów: przy tym okna, owe wąskie szczeliny, opatrzone metalową siatką, otwarte w górnej części ścian wagonów bydlęcych, zabite zostały deskami, ażeby nieszczęśliwcy nie mogli oddychać. O świecie pociały ruszyli ku Podul Iloaci.

— „Może dągonkie go jeszcze w drodze”, mówili żołnierze.

Szyny biegły w głąb doliny, równoległe do drogi. Byliśmy już w pobliżu Podul Iloaci, kiedy wśród zakurzonej pola doszedł nas długi gwizd. Spojraliśmy sobie na wzajem w oczy i zbladliśmy, jak gdyby rozpoznając ów gwizd.

— „Jak gorąco!” westchnął Sartori ocierając twarz chustką. Zauważyłem, że w tej samej chwili pożałował tego, zawstydzony, że powiedział „jak gorąco!” na myśl o tych ludziach, stłoczonych w bydlęcych wagonach, po dwustu w każdym bez powietrza, bez wody. Ow daleki gwizd miał odgłos upiorny w zakurzoną pustkowi, pod nieruchomym żarem słońca. Niebawem dostrzegliśmy pociąg. Stał przed

zamkniętym semaforem i gwizdał. Potem ruszył wolno, mi zaś za nim i towarzyszyliśmy mu równoległe po szosie. Nie odrywaaliśmy oczu od desek, przybitych na oknach. Pociąg potrzebował trzech dni na przebiecie dwudziestu mil: musiał dać pierwszeństwo konwojom wojskowym, a poza tym nie było się czego śpieszyć. Jeździł by nawet przybył do Podul Iloaci po trzech miesiącach podróży, zawsze jeszcze przybyłby na czas.

Tymczasem zajeżdżaliśmy do Podul Iloaci: pociąg zatrzymał się na martwym torze, tuż za stacją. Było koło południa, upał duszący; urzędnicy stacyjni poszli na obiad. Maszynista, palacz i żołnierze eskortujący zeszli z pociągu i wyciągnęli się na ziemi, w cieniu wagonów.

— „Otwórzcie natychmiast wagony” rozkazem żołnierzem.

— „Nie możemy, domnu capitano!”

— „Otwórzcie natychmiast wagony!” krzyknął.

— „Nie możemy, wagony są zaplombowane — tłumaczył maszynista — trzeba u przedzić naczelnika stacji”.

Naczelnik stacji siedział przy stole. W pierwszej chwili nie chciał przerwać obiadu, później jednak, kiedy się dowiedział, że Sartori był konsulem włoskim, ja zaś włoskim domnu capitano podniósł się i poszedł za nami niosąc w rękę wielkie szczytce. Żołnierze zabrali się od razu do pracy starając się otworzyć drzwi pierwszego wagonu. Drzwi z drzewa i żelaza operowały się; zdawało się, że dziesięć, że sto ramię ciągnie je do wewnątrz i że więźniowie całą mocą przeskakują, ażeby je otworzyć. W jakimś momencie naczelnik stacji zawołał: „Ej tam, w środku, popchnijcie trochę i wy!”. Nikt mu nie odpowiadał. Wówczas zdobiliśmy się na wysiłek wszyscy razem. Sartori stał przed wagonem, z twarzą podniesioną w górę, ocierając pot chustką. Nagle drzwi ustąpiły, otwały się.

Drzwi nagle się otwały i tłum więźniów zwał się na Sartorio, rzucił go o ziemię, przykrył go sobą. Byli to umarli, którzy uciekali z wagonu. Padali grupami, całym ciężarem, z głuchym łoskotem, niczym posągi z cementu. Pod trupami pogrzebani, przyciśnięci ich zimną, potworną masą. Sartori nie dawał się, opierał, starając się wyswobodzić z pod tego martwego, lodowatego ciężaru: w końcu jednak znikł pod stosom trupów, jak pod lawiną kamieni. Umarli są złośliwi, uparci, zaciekli. Umarli są głupi. Kapryśni i prwini, jak dzieci i kobiety. Umarli są szaleni. Bieda, jeśli umarli nienawidzi żywego. Bieda, jeśli w nim zakocha. Bieda, jeśli żywy ubliży umarłemu, zrani jego miłość własną, lub urazi jego honor. Umarli są zadržni i mściwi. Nie boją się nico, nie boją się niczego, ani rżów, ani ran, ani też przezwajającej liczby wroga. Nie boją się nawet śmierci. Walczą paznokciami i zębami, w ciszy, nie cofają się ani krokiem, nie wypuszczają tupa, nie uciekają nigdy. Walczą do ostatka, z odwagą zimną i nieugiętą: śmiejąc się lub chichocząc szczyderko, błądzi, i niem, z oczami wytrzeszczonymi, przekręconymi, tymi ich oczami wariatów. Kiedy leżą pokonani gdzieś się z kłęką i upokorzeniem, kiedy padają zwyciężeni, wydają ze siebie odor słodkawy i tłusty i wolno się rozkładają.

Niektórzy rzucali się na Sartorio całej siłą, starając się go zgnieść, inni padali nań zimni, sztywni, bezwładni, inni jeszcze walił go głową w pierś, uderzali go łokciami i kolanami. Sartori chwycił ich za włosy, za poty ubrań, za ramiona, odpychał ich ścisnąjąc za gardło, bijąc w twarz zaciekniętymi pięściami. Była to walka z cieńką w milczeniu: wszyscy rzucili się na mu pomoc, darcie próbując go wydobyć z ciężkiej ciżby trupów, aż wreszcie, po wielu wysiłkach, udało nam się go uchwycić i wyciągnąć z pod stosu. Sartori powstał, ubranie miało w strzępach, oczy zapuchnięte i policzek mu krwawił. Był bardzo biały, ale spokojny. Powiedział tak: „Zobaczcie, czy tam w środku nie ma kogoś jeszcze żywego. Ukąślił mnie w twarz”.

Żołnierze weszli do wagonu i zaczęli wyrzucać trupy jednego po drugim: było ich sto siedemdziesiąt dziewięć, zmarłych z uduszenia. Wszyscy mieli obrzmiałą głowę i twarz siną. Tymczasem nadziedzili żołnierzy niemieckich i zebrał się niewielki tłum mieszkańców wsi i chłopów, którzy pomagali otwierać wagony, wyrzucać zmarłych i układać ich wzdłuż pochyłości toru kolejowego. Przybyła rów-

nież grupa Żydów z Podul Iloaci z rabinem na czele: dowiedzieli się o obecności konsula włoskiego i to im dodało odwagi. Wydawali się błądzi, ale opanowani; nie płakali i mówili głosem spokojnym. Wszyscy mieli krewnych i przyjaciół w Jassach, każdy się lękał o życie kogoś bliskiego. Ubrani byli czarno, w dziwacznych kapeluszach ze sztywnego filcu na głowie. Rabin i pięciu, czy sześciu z pośród nich, którzy mówili, że należą, do rady nadzorczej Banku Rólego w Podul Iloaci skłoniło się przed Sartoriem.

— „Gorąco” odezwał się rabin, ocierając pot dłoń.

— „O tak, bardzo gorąco” powiedział Sartori, przykładając chustkę do czoła. Muchy brzęczały rozłożone. Umarłych, wyciągniętych rzędem wzdłuż pochyłości toru, było około dwóch tysięcy. Dwa tysiące trupów, w rżędzie, pod słońcem, to dużo. To nawet za dużo. Seicnie kolana mi matki, znalazłom kilkuniesięcie dziecko, jeszcze żywe. Omdlało, ale jeszcze oddechowało. Miało zlaną rękę. Matce udało się utrzymać je w ciągu trzech dni z ustami przywartymi do dziurki w drzwiach: broniła się dziko, ażeby tłum konających nie oderwał jej stamtąd i umarla zgniecioną w ciżbie. Dziecko zostało pogrzebane pod martwą matką, ssąc wargami tę maleńką smużkę powietrza. „Żywe” — powiedział Sartori głosem zmienionym — żywe, jest żywe!” Patrzyłem wzruszony na pocziwego Sartori, tego grubego i opawanego neapolitańczyka, co stracił wreszcie swoją flegmę, nie dla wszystkich tych trupów, ale dla żywego dziecka, dla dziecka jeszcze żyjącego.

Po kilku godzinach, gdzieś już koło zachodu słońca, żołnierze wyrzucili z głębi wagonu bydlęcego trupa o głowie zawiniętej okrawioną chustką. Był to właściciel domu konsultatu włoskiego w Jassach. Sartori popatrzył nań długo w milczeniu, dotknął mu czoła, poczem zwrócił się do rabina: „To był uczciwy człowiek”.

Nagle uśmiechnął się wzrąb głębi. Tłum chłopów, cyganów, nadbiegły ze wszystkich stron, odbierał trupy z ubrania. Sartori miał odrazu buntu, rabin położył mu dłoń na ramieniu: „Nie warto, rzekł — taki już zwyczaj”. Po czym dodał cicho, ze smutnym uśmiechem: „Jutro przajda, ażeby nam sprzedać ubrania, skradzione zmarłym: im by będziemy je musieli kupić. Coż innego możemy zrobić?”.

Sartori milczał patrząc na rozbieżanie umarłych. Wydawało się, doprawdy, że się broną z całej siły przed gwałtownością napastników: ci zaś, oczekając potem, wrzeszcząc i przeklinając, z zajądłością próbowali podnieść uparte ramiona, zginać sztywne łokcie i twarde kolana, ażeby zdjąć kurtkę, spodnie, bieliznę. Kobiety najbardziej się zawzięły w rozpaczliwej obronie. Nigdy bym nie przypuszczał, iż może być rzeczą tak trudną zdjąć koszuli umarłej dziewczyny. Może był to wstyd jeszcze w nich żyjący, który dodawał kołębom siły w obronie. Niektórzy podnosiły się na łokciach, przysuwając białe oblicze do ponurej, spoczonej twarzy profanatorów, wpatrując się w nich długo otwartymi szeroko oczyma. W końcu, nagie, upadły na ziemię z głuchym stukiem.

— „Musimy wracać, już późno”, powiedział spokojnie Sartori i poprosił rabin o wystawienie mu aktu zgony owego „uczciwego człowieka”. Rabin skłonił się i posłaliśmy wszyscy w stronę wsi. W biurze dyrektora Banku Rólego był bardzo z gorąca. Rabin posłał po reges-rę synagogi, wyciągnął akt zgony biedaka, wrzucił dokument Sartoriemu, który złożył go starannie i schował do portfela. Doleko pogwizdywał pociąg. Mucha o bęgniutych skrzydłach brzęczała dookoła kaja-marza.

— „Przykro mi, że już muszę wracać — rzekł w jakiejś chwili Sartori — ale trzeba, żeby był w Jassach jeszcze przed wieczorem”.

— „Niech panowie chwilę zaczekają” — poprosił po włosku jeden z administratorów Banku Rólego, Żyd młody i tłusty, z brodą a la Napoleon III. Otworzył szafkę, wyciągnął z niej butelkę wermutu i napełnił parę kieliszków. Dodał, że wermut pochodzi naprawdę z Turynu, prawdziwy Cinzano, i zaczął nam opowiadać po włosku, że kilkakrotnie był w Wenecji, Florencji, Rzymie i że obaj jego synowie studiowali medycynę we Włoszech na uniwersytecie w Padwie.

— „Chciałbym ich poznać” — rzucił uprzejmie Sartori.

— „Nie żyją — odparł Żyd — zabito ich ostatnio, w Jassach”. Westchnął, a potem dodał: „Jakże bym chciał powrócić jeszcze do Padwy i zobaczyć uniwersytet, gdzie byli na studiach moi synowie!”.

(Dalszy ciąg nastąpi)

PRZECIW PRAWOM BOŻYM, LUDZKOŚCI I NARODÓW

(Dokończenie art. ze str. 7.)

Terror i demoralizacja oto dwie metody, które z azjatycką bezwzględnością i chytrych zastośowa Murawiu wobec Polaków. Przyznaje się do nich bez cienia hipokryzji, jest przeciwny do swych metod.

„Pragnę przeciwieństwo Polakom, że rząd nasz ich się nie obawia, zajętem się; niezwłocznie rozpatrzeniem wyroków na najważniejszych przestępców; potwierdzeniem i kazaniem natychmiast wykonac je w Wilnie na placu targowym, w samą południe, ogłaszając egzekucję przy głosie bębnow. Zaczajem od księży. Jako od głównych działaczy buntu” (str. 41).

„W liczbie znajdujących się w więzieniu był także były kapitan generalnego sztabu Sierakowski, który dowodził największym oddziałem na Zmudzi, rozbitym przez gen. Ganeckiego, dowódcę fińskiego pułku, także szlachcic Kołyszko, naczelnik innego znacznego oddziału. Kazalem przyspieszyć wyłoczenie im procesy i konfirmowaniem ich obu na powieszenie.

„Cztery te przykłady podzielały silnie na Polaków; zaczęli się przekonywać, że z nimi nie będą żartował” (str. 42).

A oto jakimi środkami rozbijał Murawiew odrodzenie społeczne i moralne narodu. Głównym przeciwnikiem był dla niego Kościół Katolicki.

„Jeszcze w roku 1863, podczas samego powstania, o ile mogłem, robiłem konieczne rozporządzenia dla zmniejszenia wpływu polskich panów, szlachty i księży, zawsze nam nieprzyjających, i polepszyłem byt poddanych im włościan przez podtrzymanie wszędzie prawosławia, przez zakładanie wszędzie rosyjskich szkół, nie tylko wśród wiejskiej ludności, lecz i w miastach, pociągając do uczenia się po rosyjsku i Żydów, dotąd obojętnych dla sprawy rosyjskiej. Księży zaś poddałem pod najcięższy dozór miejscowych władz powiatowych, które wszędzie już były rosyjskie.

„Pomiędzy rozporządzeniami dla zupełnego oikondzenia duchowieństwa katolickiego, było też zamknięcie i zupełne skasowanie trzech stowarzyszeń, związanych pod pozorem dobroczynności i podniesienia moralności ludu, lecz w gruncie w celu rozszerzenia propagandy łacińskiej i podciągania pod nią ludności zwłaszcza wiejskiej

„Stowarzystwo „wstrzemięźliwości”, które jakoby miało powstrzymywać lud od pijanstwa, zawiązane było jeszcze w roku 1860 tj. w początkach rozwoju polskiej propagandy w kraju. Bractwo to wstrzemięźliwości, założone wbrew prawu, pod błogosławieństwem papieża, oddane było pod władzę biskupów katolickich. Głównymi działaczami jego byli: biskup Włodzieński w gubernii Kowieńskiej, a Krasieński w Wileńskiej i Grodzieńskiej. Włodzieński nie zamierzał rozporządzić, aby całe duchowieństwo jego diecezji przyjęło w nim czynny udział. We wszystkich kościołach ogłoszone było z ambony zawieranie bractwa; księża na spowiedzi wmaślał w lud obowiązek zapisywania się do niego i pod tym pozorem poddania się pełnemu rozporządzeniu duchowieństwa, które za dyspensą biskupa i z błogosławieństwem papieża, dawało mu rozgrzeszenie na wiele lat naprzód. W ten sposób lud stał się niemym wykonawcą zamiarów duchowieństwa katolickiego, które kierowało nim przeciw naszemu rządowi, współdziałając wszelkim rewolucyjnym manifestacjom, które się w całym kraju pojawiały w roku 1861.

„Były generał - gubernator Nazimow widział to źle, ale nie miał dość siły i woli, żeby mu przeszkodzić. Biskup Włodzieński na dany mu rozkaz odpowiadał sortką odmową, a w roku 1862 i 1863 starał się wzmocnić wpływ duchowieństwa na lud, by go pociągać do buntu.

„W ciągu roku 1863 i pod koniec jego przedsięwzięcia środki, aby wstrzymać skłody, fanatyczny wpływ katolickiego duchowieństwa na lud. Bractwo wstrzemięźliwości było stanowczo wzbronione, a księża i właściciele ziemscy, którzy nie wykonywali tego rozporządzenia, pociągani byli do odpowiedzialności prawnej i oprócz tego nakładane były na nich kary pieniężne. Również duchowieństwo katolickie podpadało pod kary za zakładanie nie-

prawne szkół, bez wiedzy władz szkolnych, w jednym celu rozszerzenia polsko-łacińskiej propagandy.

„Rozporządzenia moje w tym względzie, wykonywane szybko i bez wahania, dopięły prędko celu i lud stopniowo uwalniał się z pod silnego ucisku katolickiego duchowieństwa, które ze swej strony zmuszone było poddać się najbliższej władzy wojskowej i cywilnej.

„Niemniej skłodym był „Stowarzystwo Wincentyn” (św. Wincentego Pauli), założone w Wilnie w roku 1861 przez panią Buczyńską, znaną z łacińskiego fanatyzmu; miało ono na celu opanować umysły nie tylko polskich pań, ale i znanych Rosjanek w Wilnie, a nawet Petersburgu, i pod pozorem dobroczynności zbierać pieniądze dla współdziałania powstaniu. Generał - gubernator Nazimow, jego żona a z nimi i większość pań

siłki pierwiej już był wysłany przeze mnie na mieszkanie do Wiatki. Główni członkowie stowarzyszenia: Buczyńska, Łopacińska, hr. Platerowa i inne damy, po rozpatrzeniu ich czynności w komisji śledczej, były wysłane na mieszkanie do wewnętrznych gubernii cesarstwa; stowarzyszenie zostało ostatecznie zamknięte, skłody zaś działanie jego zostało ogłoszone. „Później już, w roku 1864, zniszczone zostało towarzystwo dobroczynności, założone za zezwoleniem wyższej władzy przez panią Dąbrowską; cały prawie kraj brał w nim udział za pomocą składek. Towarzystwo to miało swoje domy, niy dla schronienia ubogich, rzeczywistym zaś celem jego było dopomaganie powstaniu przez różne pobory i rozsyłanie po całym kraju agentów dla zbierania składek. Agentami tymi były głównie kobiety, służyły za roznosicielki wszelkich politycznych bun-

stki one zostały zamknięte razem ze skasowaniem Towarzystwa Dąbrowskiej; domy skonfiskowane, a tak zwane zakonnice porożysano do miejsc rodzinnych.

„Dąbrowska umarła w początkach 1864 roku i w ten sposób uniknęła odpowiedzialności” (str. 96-100).

Polityka Murawiewa wywołała entuzjazm całej Rosji, o której pisze on z największym zadowoleniem.

„Sympatia Rosji i rosyjskich działaczy na sławnym polu moralnego i politycznego podboju północno-zachodniego kraju ciągle wzrastała i wyrażała się w adresach telegramach do mnie, w doniesieniach o różnych wypadkach mniej lub więcej przyjaźnych dla sprawy rosyjskiej, jak o wznowieniu się nowych świątyn, o przechodzeniu katolików na prawosławie, o urządzeniu nowych szkół. O wszystkim tym do nosili mi Rosjanie z różnych miejsc kraju; przy każdej uroczystości pamiętano o mnie, słowem, imię moje stało się szanem dla Rosjan w tym kraju, i chociażby nieobecnym, pozostawałem moralnym działaczem sprawy rosyjskiej, podtrzymywanej tak chwalnie r. 1866 przez nowego naczelnika kraju.

„Rosja upominała się o własność swoją, która przez dziesiątki lat haniebnie zamieniała się w prowincję polską, za pomocą słabości i nierozsądku tak wyższego rządu, jak i władz miejscowych. Sympatie Rosji dla świętej sprawy odrodzenia prawosławia i narodowości rosyjskiej w kraju północno-zachodnim, były tak silne i powszechne, iż ze wszystkich krańców obszerniej naszej ojczyzny otrzymywałem dziękczynne adresy za skuteczne zwalczanie buntu; od duchowieństwa, dworzaków, od obywateli miejskich i wiejskich; oprócz adresów przysyłano mi obrazy święte, a wszystko to dodawało mi siły moralnej, a mogę rzec nawet, siły cielesnej, do przełamania trudności miejscowych i do walki z niektórymi osobami rządowymi, które się przeciwiały rozporządzeniom moim w celu zgniecenie buntu” (str. 146).

A coż na to Europa?

„Głównym jest uwagi, iż podczas gwałtownego powstania, otrzymywałem ze wszystkich stron Europy i we wszystkich językach listy bezmiennie, pełne obelg; oprócz groźb śmierci od truczyny i sztyletu, listy te przepływały, że żadne środki nie nie pomogą, gdyż Europa ujmie się za Polakami, i że Rosja nie będzie miała siły sprzeciwić się żądaniom państw zachodnich” (str. 147).

Murawiew wiedział, że kłamstwo jego jest bronią silną. Osiągnął rezultaty, o których pisze z dumą:

„W początku r. 1865 wyszyse nauczyciele w gimnazjach byli Rosjanami, tak, iż nauka polskiego języka w szkołach zupełnie ustała. Z pomocą duchowieństwa i pośredników komisarzy włościańskich zarząd szkolny potworzył wszędzie szkoły rosyjskie i było już ich przeszło 600. Nauczycielami w nich byli seminarzyści rosyjscy, których kilkuset przybyło z wewnętrznych gubernii rosyjskich, wskutek związanych przeze mnie stosunków z władzami eparchialnymi. We wszystkich prawie miastach i po wsiach zaczęto wznosić murywane cerkwie za pieniądze dane przez rząd, a głównie za sumy zebrane z kontrybucji: niektóre z nich już były poświęcone w r. 1865. Ustanowione zostały rady cerkiewne z włościan i z innych parafian prawosławnych, którzy czynnie dopomagali pieniędzmi i pracą do pobudowania cerkwi. Duchowieństwo prawosławne widocznie podniosło się na duchu i gorliwie dopomagało. Wyjednałem dla niego znaczne wsparcie, 400.000 rubli rocznie z sum kontrybucyjnych, tak iż każdy wiejski parafialny proboszcz pobierał rocznej pensji po r. 280, a miejski po 700 r. Urzędnicy rosyjscy wszystkich galezi administracyjnych w r. 1864 pobierali już pensję dodatkową w stosunku 50% z sum kontrybucyjnych. Pośrednicy, komisarze włościańscy mieli też pensję dodatkową po 500 rubli rocznie, tak, iż wszyscy działacze rosyjscy dostatecznie zupełnie uposażeni, gorliwie się starali o utrwalenie sprawy rosyjskiej w kraju” (str. 161).

Czy trzeba komentować ten upokarzający obraz triumfu kłamstwa, okrucieństwa i chytrości? Czy wario robić porównania...



Ppance „Kresowej” na stanowisku

Fot. W. Chrusciel

rosyjskich, zapisali się do towarzystwa, będącego pod głównym zawiadywaniem biskupa wileńskiego, Krasieńskiego.

„Buczyńska pierwsza dała przykład noszenia żałoby i zebrane pieniądze rozdawała kobietom z ludu, z obowiązkiem noszenia żałoby narodowej po ojczyźnie.

„W początkach roku 1863 sam Nazimow domyślił się, do czego zmierza towarzystwo; Buczyńska wyprawiła na wieś i wzbronili zebrania towarzystwa. Lecz nikt już nie słuchał generała Nazimowa; towarzystwo zbierało się niejednokrotnie w Wilnie pod prezydencją biskupa Krasieńskiego.

„Uczynilem rozporządzenia ku prześladowaniu działaczy tego stowarzyszenia. Kra-

townicznych komunikacji i stanowiły rodzaj zakonne, które ślubowały poświęcić się dobroczynności.

„Dąbrowska założyła filię Towarzystwa w Kownie, Szawłach, Dynaburgu, Krasławiu, Oświężu, Drohiczynie i w innych miejscowościach. Miała nawet swoich agentów w Konstantynopolu i w różnych miejscach północno-zachodniego kraju dla stosunków z buntownikami.

„Przy słabym dozroze rządu i za pozwoleniem biskupów, siostry miłosierdzia zakładały rodzaj pustelni przy klasztorach, które były pozostały nieskasowane dawniejszymi czasami; były takie pustelnie w Krasławiu, w Oświężu i w Drohiczynie, w Kownie i innych miejscowościach. Wy-

Naśladowanie z Petrarki*)

Wspomnienia święte z tej waszej krainy,
mym grzesznym uczuc budząc we mnie żale,
wołają: „Nędzny! pohamuj w zapale”,
duchowi drogę wskazują i czyni.

Lecz przeciw zmianie meń zwątpień przyczyny
wysunę żądz: „Rzucik ja na state?”
a na czas wspomni, co uchodzi, dalej,
do namiętności wracaj, do dziewczyny”.

A ja słuchając tych tęsknych wałk duszy,
zapomnę skrzychy, jako człowiek, który
uległ urokom zbyt mocnej pokusy.

I znowu wraca mię pierwsza i zbożna;
czy wygra — nie wiem. Tak obydwa chory
spór we mnie wiodą, a wybrać nie można.

Tłum. Andrzej Łachowicz

*) Sonet „L'aspetto sacro della terra nostra” — napisany z okazji pobytu poety w Rzymie, dla przyjaciela Rzymianina.

RÓŻNE

W katedrze jękiem brzękliwym
Cichutkim smutnym motywie
Placzą paciorkowe szklane żyrandole
Tyle jest ram i krzyżów
W gajach italskich wżyn
A jękn ten
Boli.

I próżno sobie tłumaczyć
Ze być nie może inaczej
Ze płoną lasy —
Zal róż, co w cienu olbrzymów
Zdajawone, rozdarte gnia
Szkłana melodią dzieciąną
Placząc.

Seweryn Ehrlich

W Kurdystanie były góry Mazurskie, a w północnych Apeninach jest Monte Lechia. Lechia po włosku nie znaczy nic, a nazwa ta przyszła tu zapewne zą dziwną cygańską drogą historii, co i „Casa Polacca” gdzieś pod Osimio lub określenie barki neapolitańskiej „polacca”, ale miasteczka kędyś w greckim Epirze „Varsavia”. Przeniesienie wielu dziwnych symbolów tej wojny przysłało Monte Lechia zdobywac Polakom. Górę Lechię... Już raz w historii polskich wojen o wolność była Polska Góra. I chociaż od tamtych czasów minęło 30 lat — całe pokolenie — boje w Apeninach o Górę Lechię bardzo podobne są do zmagów o Polską Górę, do bitew pod Łowczówkami i Limanową.

Trudno jest pisać o wojnie bez mapy. Nie może być wojny bez mapy. Nie można wojny rozumieć, nie rozumując mapy. Map włoskich jest bardzo wiele i na jakiejś kolwiek z nich można odszukać drogę, oznaczoną przez Włochów numerem 67, biegnącą z Florencji do Forlì poprzez wysokie góry. Minąwszy miasteczka Pontassieve i Di. comano droga wije się w fantastycznych serpentynach przez Alpy św. Benedykta, mając po wschodniej stronie szczyt Monte Fatterona, wysoki 1657 m. Początek łamańców drogi stanowi wioska San Gadenzo, a kościełko w San Benedetto. Inne nazwy to tylko imiona wzgórz i samotnych domków. Dalej bieg rzeki Montone wskazuje, że droga z nią spleciona opada w dolinę nadpadaniską. Przedtem jest jeszcze w głąbi skalnych jarów kilka miasteczek, a z nich największe Rocca San Casciano. Stąd się rozpoczął nowy akt dramatu, nowy etap walk Karpackiej.

Wróćmy jeszcze na chwilę do Dicomano. Zamiast miasteczka odnajdziemy gruzi. Wojna w górach, a zwłaszcza w zimie jest wojną o domy. Niemcy uchodząc wysadzili nie tylko miasta, ale nawet wszystkie pojedyncze domki i szopy. San Gadenzo i San Benedetto są dziś tylko nazwami miejsc na mapie, wglądnięt zwałisk gruzów, jak Babilon, Tobruk czy Cassino. A więc mamy już kulka kółorów ta walk Karpackiej: teren wysokogórski, zniszczone miasteczka, wioski, przysiółki i domki. Droga wije się cały czas w cięśninach. Cóż za wdzyczna rola dla niszczycieli! Mosty wysadzone, to bajka, wyrwy na drogach, to siłanka, ale zerwane całe góry leżą wprzód zwycięskiego marszu! Wojna przypomina zabawy dzieci: burzenie i ustawianie klocków. Co Niemcy zaburzą, zasypią i wysadzą, to sprzyńnierzeni odbudują, odgrzebią i postawią. Ale trwa to wolno i pochłania ofiary. Inny szczegół, walka nowoczesna motorowopancerna wymaga rozwinięcia pojazdów, urządzenia postojów. Na naszym odcinku nie ma na te cele miejsc, a maleńkie skrawki ziemi są zaminowane. Eżeszony stoły dziesiątki kilometrów od oddziałów. O użyciu broni pancernej nie ma mowy, o stanowiska dla artylerii ciężko, zaopatrzenie — stary znajomy z Cassino: muly. Nawet ta sama kompania, co tam. Wzrosło błoto po kolana, deszcz, topniejący śnieg i zimno. Takie jest, mówiąc stylem wojskowym, położenie własne.

Od Rocca S. Casciano pnie się podgrzana, biotinista droga na północ ku szczytowi Chioda. Właśnie zajął go batalion karpacki. Każdy fragment tutejszego krajobrazu można by kopiować na nęcące afisze, propagujące turystykę. Widok na bezdenną dolinę, piaszczyste urwiska, kawał lasu, bezdroże i napis „Samotność znajdziesz na Chiodzie”. A gdzieś na ustroń widniały napis „Sznujcie majestat gór”. Nie mają tego poszanowania armaty, a samotność została sparożowana okrutnie przez wojnę. Ziemia jest zdeptana tysiącem nóg, skopana łopatkami strzelcami, zryta pociskami, błoto zmieszane kopytami mułów i buciarami wojska, teren zaśmiecony stosami amunicji i bezładem sprzętu. Ale przecież patrzmy na mapę i wynika z niej, że z Chiody prowadzi droga na wzgórze Pratiello i tam się kończy i że to jest niedaleko Istoinie z Chiody zajęte zostało Pratiello. Stąd już droga na północny wschód i zachód, do Forlì i Faenzy zagradza masyw górski — Monte Lechia i Trebbio (630 i 627 m). Tam usiedli mocno Niemcy. Dojeżdż do nich najłatwiej byłoby grzebiącami wzgórz od Pratiello. Tam też pojdzie batalion, ale Niemcy się tego spodziewają i nie puszczą batalionu na wzgórze reducte, nazwane przez Polaków piramidą. Zejdzie z Chiody w jary na północ i podejście na Lechia na mapie oznaczone jest arabskimi warstwami, w rzeczywistości forsowane przez przestrzeń jest nawet jako wycieczka uciążliwa, a przez walkę stało się jednym z najpiękniejszych sukcesów karpackich.

Kiedy w tych dniach na chwilę pokazywało się słońce, gdzie tam na dolinie Iśni-

Monte Lechia

ła nowa tęsknota wojska — Forlì, opasane zamykając żelazne wały Lechi i dalszych wiechem artyleryjskich ognia. Ale drogę tam wzgórz. Dowódcy, którzy zebrałi się na punkcie obserwacyjnym na Chioda, mieli niefatławie gorące, spoglądając w szachownię zar, urwisk i jarów. Na ich chłodne kalkulacje operacyjne czeka historia. Na natchmiasowe działanie czeka Lechia i marzące wojsko. W walce wysokogórskiej, gdzie da się użyć tylko ręcznej broni, czynnikiem decydującym jest odwaga. Oto stoją naprzeciw siebie batalion niemiecki oddziału rozpoznawczego, doskonały, młody żołnierz, w obronie wysokiego, zwartego masywu górskiego, na terenie grząskim i okrytym. Do natarcia idzie batalion polski, Karpacki. Skrzydło od wspomnianego pilarni będzie widać inny batalion, waka będzie zajęta.

Ciemną nocą kompania i moździerze piechoty forsują przepastny jar i spinają się po bezdrożach na wzgórze z domkiem u stóp Lechi. Towarzyszące muł toną w błocie, spadają w przepaści i ustają. Ludzie dochodzą. O świcie patrolo opukują jak dalsze dojeżdża ku szczytowi. Dostają ogień broni, ciężkiej i ręcznej. Walka będzie twarda.

Trudno było o inną decyzję, jak natarciem nocnym przez zaskoczenie zdobyć Monte Lechia i Trebbio. Prosto to brzmia. A w treści tych wyrazów mieści się odpo-

wiedzialność za nowy skrawek historii bodźco o Polskę, walenie przysięg, trud zaopatrzenia, młka żołnierskiego wysiłku i blisk odwagi. Pamiętajcie z filmów wojennych, jak przed atakami w okopach oficerowie nerwowo patrzą na zegarki, oczekując nakazanej godziny? To jest strasna chwila oczekiwania, kiedy twarze są blade i skupione. Nagle drż niebo ogień dział i śmierć spływa przyciążona spod obłoków. Wsparcie artyleryjskie zapewnia jak dwace dywizjon kpt. B. i na jego zdanie dwa całe pułki lekkiej i ciężkiej artylerii. To dobry znak. Kpt. B. wspiera zawsze wszystkie zwycięskie akcje batalionu, od Tobruku poczynając (natarcie Niem. na S 13). Pod jego osłoną żołnierze czują się jakoś bezpiecznie. Się, ognia potężnej jeszcze moździerze 4 i 3 calowe.

Nadeszła godzina 2 w nocy. Artyleria kilkadziesiąt minut temu ukończyła przygotowanie. W nocnej ciszy wschodzą księżyc i równocześnie na lewym skrzydle rozpoczyna się walka. Jest bardzo silny ogień artylerii, moździerzy i wiele broni maszynowej npla. Już i na kierunku nacierającego z dołu batalionu N. ze szczytów leją się strumienie niemieckich świetlnych pocisków. Ogień oni na chwilę nie słabnie. Niebawem przemienia się w stałą zapartę. Tryz kompanie tymczasem idą jak duchy bez wychylenia na zachodni i wschodni stok Lechi. Niespodziewanie szybko nadchodzi pierwszy meidunek. „Zachodni stok opano-

wany”, potem „wschodni stok opanowany” i „Jesteśmy na szczycie”. Rakiety własne mieszają się z niemieckimi. Ogień niemiecki, leży już na Lechi. Dwie kompanie bez oddechu idą dalej — na Trebbio. Niemcy są tak zaskoczeni, że bronią się w progach domków. Teraz dla nich twierdzą jest każdy próg... St. strzelce Tyczeński w progu domu natknął się na wybiegającego Niemca. Obaj równocześnie pociągneli za języki spustowe pistoletów maszynowych. Obaj równocześnie padli martwi. Symbol spraw polsko-niemieckich.

Nim świt wstał nad Apeninami, Niemcy opuścili pole bitwy, pozostawiając kilkudziesięciu zabitych i kilkunastu jeńców. Padł dowódca niemieckiej kompanii. Teraz na Lechię i Trebbio pada ułwa ognia artylerii i moździerzy niemieckich. Niebawem wychodzi przeciwnatarcie. Zalamuje się w ogniu artylerii i broni maszynowej.

Gdy nastał dzień, patrolo nóżowych w nieopisanym trudzie poprzez błota, waży i góry poczęły znosić rannych. Polała się znowu krew polska. Ziemia Apenin chłwie na nią czekała. Pobjawisko załane niemieckim sprzętem, nieuzbrojone runy na drogach, składy amunicji i materiałów wybuchowych świadczyły, że Niemcy zamierzali bronić się dłużej na Lechi i Trebbio. Do rąk naszych dostały się m. in. polskie karabinki ręczne F. B. Radom 1938, a także polskie papirusy („episkie”) i... czysta wódka („reine Wodka Warschau”).

Wygrana została piękna bitwa dzięki wspaniałej dyscyplinie i zawziętości bojowej wszystkich żołnierzy. Nieustępliwo, nieprzerwane natarcie, w którym gdy padł celowniczy, brał po nim następniast karabini kolega (str. grz. G.) i uciwał: „rodło ognia npla. zaskoczyło Niemców i obróciło się w sukces, który ocenili w rozkazie bojowym dowódca Korpusu. Trzech szeregowych z batalionu otrzymało za działanie Krzyż Walecznych, a trzech awanse.

Właściwością gór jest brak perspektywy. Po zdobyciu Lechi i Trebbio okazało się, że masyw górski nie opada stąd całkowicie w dół, ale spływa kilku łagodnymi grzebiętami, usianymi wielkimi kopkami, na których umocili się desperacko Niemcy. Przed dalszymi większymi działaniami trzeba było zlikwidować dwa takie szczególnie niebezpieczne góry. Jednej nocy kompania N. zdobyła potrojne wzgórze 567, prowadzące na San Savino i pod masyw Castellaccio. Skoro jednak nastał dzień, okazało się, że kompania wbiła się kinem w linię niemiecką i znajduje się pod bardzo bliskim ogniem moździerzy, granatów i karabinów maszynowych z trzech stron. Pozycję trzeba utrzymać za wszelką cenę. Wzgorza są obłe, niepokryte, skaliste, podobne do olbrzymich bochnów chleba. Nocą spadł obfity śnieg. Rankiem dowódca kompanii odgrzebiwał spod niego śpiących żołnierzy. Kompania pod nieustannym ogniem wokupe się w ziemię i zsięściwie nie ma żadnych ofiar — przez trzy dni i trzy noce pozostawania na pozycji. Jest to strasna pozycja. Ogień odnosa całkowicie drogi dojeżdża, strzelcy wyborowi chynają na pojedynczych żołnierzy, którzy w stanowiskach pełnych wody i błota muszą leżeć nieruchomo, początkowo bez płaszczy, na mrozie. Kompania utrzymuje pozycję jako podstawę wyjściową do działania innego Baonu.

Krwawa i zacięta bitwa nocną stoczyła inna kompania z niemieckim pójswadromem Oddziału Rozpoznawczego o wzgórze 538. Był to doskonały, wprost szkolny przykład zaskoczenia. Kompania obszła zbocze wzgórza i wpadła między do wzdłóżdo a pozycję obronną. Wywiązała się krótka, bezpodanova walka. Padło 15 Niemców. Niemieciu pozostających przy życiu zbiegło, jeden tylko jeńiec pozostał na placu bitwy. Poprzednio strzelili alarmowe rakiety. Na zajęta pozycję popytał się grad pocisków artylerii i moździerzy. Przedtem jeszcze w chwili szturmu padł szef kompanii kpt. str. sierż. Julian Staszewski. Stary Tobruńczyk, doświadczony żołnierz, człowiek wysokiej kultury, dobry, wierny, kochany Staszewski. Najbardziej lubiany szef kompanii, którego przydarzyło się w ciągu tej wojny spotkać. Dobry panie Julianie! Należą Ci się najczystsze łzy.

Zdobycie wzgórza 538 ułatwiło drogę sąsiedniemu Baonowi. Walka toczy się dalej. Chyba nigdzie nie była tak zacięta, jak tu w tych górach.

Karpacka postąpiła jeden krok bliżej ku polskiej granicy. Minęła jedną z tych siedmior, o których mówił kiedyś generał Sosnkowski. Ileż ich jeszcze Bóg przed nami postawi.

NOWY RZĄD RZECZYPOSPOLITEJ

(Dokończenie ze str. 1)

Powstanie nowego rządu polskiego wywołało w prasie brytyjskiej posępne uwagi na temat przyszłości stosunków polsko-sowieckich. Przynajmniej, że nie podzielały tych wniosków, aczkolwiek zdajemy sobie sprawę z ogromnych trudności, które nas czekają jeszcze na tym odcinku.

Politycy brytyjscy niejednokrotnie wyrażali zdanie, że ze względu na tendencje polityki sowieckiej stwarzania faktów dokonanych wobec Polski, zżiwianie Rosji cho: by najgorszym dla Polaków układem jest korzystniejsze niż brak wszelkiego układu. Niektórzy publicyści brytyjscy są w tym ryzykownym rozumowaniu tak daleko, iż uważali, że każdy podpis Rosji posiada w tych warunkach znaczenie zasadnicze. Drugim motywem argumentacji publicystów anglosaskich było twierdzenie, że lepsza jest Polska mała, do linii Curzona, ale niezależna, niż Polska wielka, ale w całości podporządkowana Rosji.

Dowiadaczenia tegoroczne tymczasem wykazały: 1) że Rosja nie chce żadnego układu z Polską i nie chce przyjąć wobec niej żadnych zobowiązań. Rosja chce naszej kapitulacji, do której nie widzimy powodu, 2) nie ma wyboru między „Polską małą, lecz niezależną” i „Polską terytorialnie dużą, lecz zależną”, gdyż Rosja chce w tej czy w innej formie wyjąć całą Polskę do swego systemu. Frazes o Polsce „silnej, wielkiej i niepodległej” oznacza, w rozumieniu sowieckim, podporządkowanie Polski polityce Rosji, która jako gwarantka Rzeczypospolitej chce dbać i zabezpieczyć łaskawie swymi bałnetami „siły, wielkość i niepodległość” Polski w stosunku do... Zachodu.

Brytyjscy publicyści często uskarżają się na kłopoty, które Polska sprawia aliantom. Rozumiemy to, gdyż nam również największe kłopoty i nie tylko kłopoty sprawiają stosunki z Rosją. Sądzimy jednak, że dziś Polska nie jest już jedynym „kłopotem” w obozie sprzymierzonych, tych kłopotów jest znacznie więcej w Europie — w Belgii, w Grecji, we Włoszech, w Jugosławii, we Francji, nie mówię o Iranie i o Chinach. Wyjdzie się, że wszystkie te zagadnienia wymagają łącznego traktowania, bo są wyrazem tych samych trudności. Stawiają one w szczególności pod znakiem pytania uchwały teherańskie i koncepcję Europy tam opracowaną.

Ostatnie przesilenie rządowe polskie było jednym z wyrazów głębiokiego kryzysu, który przyszywa dziś cały kontynent. Czy polityka brytyjska będzie mogła patrzeć obojętnie na przesilenie europejskie, czy przyjdzie czy później nie zajmie się nim gruntownie tak, jak już zmuszona była zająć się nim we Włoszech, w Grecji i w Belgii? Będzie to zależało od siłpania woli W. Brytanii zachowania owoców zarysowujących się zwycięstwa.

Rząd p. Arciszewskiego doszedł do władzy w okresie krytycznym dla Europy, a bardzo ciężkim dla Polski, gdy nasyłał prawo do wolności i całości terytorialnej kwestionowane są z tyłu stron a sprawa nasza na gruncie międzynarodowym przedstawia się szczególnie niekorzystnie.

Nikt też, kto trzeźwo ocenia sytuację nie oczekuje od rządu cudów, ani szaleniech występów, wszyscy wiedzą, że zadania jego są ciężkie. Chodzi tylko o to, by działano jego nie ograniczała się tylko do dostosowywania się do okoliczności na gruncie międzynarodowym, ale by była w nią równie nieustępliwa, uparta, konsekwentna, jak walka żołnierza na polu bitwy. Nie ma nic gorszego i przykrejszego, jak powstanie w czasie wojny, rozdziałów i nieporozumień między działaniami politycznym państwa a walką jego orężną... Nie można w jednej dziedzinie być słabym i wielkim, a w innej potężnym i nieugiętym. Nie można żądać od żołnierza najwyższych wysiłków i bezkompromisowości, gdy w polityce czyni się same ustępstwa i same kompromisy. Stan tego rodzaju dysharmonii wytwarza zawsze najfatalniejszą sytuację, której szkodziłoby jest dla każdego oczywista. Rząd i wojsko muszą mieć do siebie w czasie wojny pełne, wzajemne zaufanie, muszą w walce iść wspólnie do tego samego celu.

Rząd p. Arciszewskiego dochodzi do władzy z wyjątkowym kredytem zaufania. Im większe w walce o niepodległość i niepodzielność Rzeczypospolitej będzie miał na zewnątrz trudności, którym zdecydowany będzie przeciwstawiał się, na tym większe będzie mógł liczyć poparcie wewnętrzne.

W wywiadzie udzielonym korespondentowi „Orla Białego” p. premier Arciszewski powiedział m. in.: „Żołnierz współczesny, a szczególnie żołnierz polski musi być żołnierzem obywatelom, walczącym świadomie, myślącym samodzielnie, kształtującym swobodnie swe myśli i opinie. Jeśli by było inaczej, byłoby naprawdę, źle, bardzo źle. Groziłoby to rzeczywistą demoralizacją i oportunizmem, na czym zerować mogą tylko czynniki wrogie Polsce”.

Prawda ta, tak pięknie wyrażona, zachęcać będzie każdego obywatela i każdego żołnierza do pogłębienia swej wiedzy politycznej oraz swej myśli ideowej, by i tą drogą utrzymywał harmonię między walką na polu bitew, a tą równie ważną, która musi być prowadzona na gruncie ideowym i politycznym. Wówczas bowiem powstanie siła, która przemoże wszystkie trudności.

Arp.

Jan Białotowicz